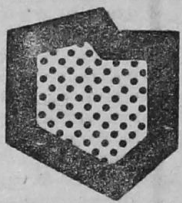


SŁAWOMIR SIWEK



PO PODSUMOWANIU WYNIKÓW współzawodnictwa w 1979 roku Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane zostało uznane przez swój resort za najlepsze w grupie przedsiębiorstw budownictwa mieszkaniowego i ogólnego, zdobywając szandarę przechodni Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych oraz Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Budowlanego. ŁPB buduje nie tylko „drugą Łomżę” — 11-tysięczne osiedle „Jan-tar” ale także bloki mieszkalne w Grajewie, Zambrowie a nawet Zagórze (dla pracowników Huty Katowice). Zalogą, która w pierwszym półroczu br. oddała do użytku mieszkania o powierzchni ponad 21 450 metrów kwadratowych liczy 980 osób. Oceny realizacji zadań dokonała Konferencja Samorządu Robotniczego. Zwrócono uwagę, że mimo osiągnięć nie rozwiązano jeszcze szeregu problemów dotyczących przede wszystkim jakości wykonywanych robót, zaopatrzenia materiałowego i wyposażenia w sprzęt.

BLISKO 7300 CZŁONKÓW pracujących w 565 kółach liczy wojewódzka organizacja ZSL. W okresie od II Wojewódzkiego Zjazdu nastąpił znaczny wzrost szeregów ZSL — przybyło 1280 członków, powstały 24 kół. Towarzyszył temu — jak stwierdzono na ostatnim plenarnym posiedzeniu WK ZSL — wzrost samodzielności i operatywności instancji gminnych i kół



POLSKA AGENCJA PRASOWA informowała w ostatnich dniach o przerwach w pracy w licznych zakładach na terenie kraju, podczas których wysuwane były postulaty płacowe, a także dotyczące norm i organizacji pracy oraz zaopatrzenia. Wystąpiły one m.in. w Warszawie, Gdańsku i Gdyni, Aleksandrowie Łódzkim.

Z RADIOWO-TELEWIZYJNEGO przemówienia Edwarda Gierka: Mały świadomość, że obok wielu czynników obiektywnych poważną rolę odegrały błędy w polityce gospodarczej. Na wielu odcinkach praktyka rozmiękała się z założeniami pogrudniowej polityki partii. Nie zdołaliśmy w porę tego dostrzec i skutecznie temu przeciwdziałać. Musimy zatem powrócić do konsekwentnego przestrzegania linii VI Zjazdu. Zwrot ten już zapoczątkowaliśmy.

Z PRZEMÓWIENIA premiera Edwarda Babiucha przed kamerami TV: Nie ukrywaliśmy i nie ukrywamy, że sytuacja gospodarcza kraju jest skomplikowana, a na wielu odcinkach bardzo trudna. (...) Wszystkie niedomagania gospodarki — szczególnie w bilansie płatniczym kraju, w rolnictwie i na froncie inwestycyjnym — nawarstwiały się

ZSL. Plenum przyjęło projekty dokumentów na III Wojewódzki Zjazd Delegatów, który odbędzie się 16 września br. Weźmie w nim udział 150 przedstawicieli Stronniców wybranych na zjazdach gminnych.

ZAKŁADY ZJEDNOCZENIA Konstrukcji Stalowych i Urządzeń Przemysłowych „Mostostal” uczestniczą we wszystkich ważniejszych budowlach województwa. Wznosiły konstrukcje Zakładów Płyt Włókowych w Grajewie, Fabryki Domów i łomżyńskiej wieży przekątnikowej II programu TV, montują urządzenia i obiekty sportowe. Podczas spotkania z dyrektorem zjednoczenia, Józefem Lechowiczem, I sekretarz KW PZPR w Łomży, Waldemar Szpaliński podziękował mostostalców za tę pomoc i wręczył dyrektorowi Lechowiczowi odznakę „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego”.

DOBIEGA KOŃCA rozruch technologiczny linii produkcyjnej białka testowanego w Zakładach Mleczarskich w Zambrowie. Jest to pierwsza tego rodzaju instalacja w kraju, która pozwoli w ciągu doby przerobić 120 tysięcy litrów odutuszowanego mleka na 9 ton cennego produktu, znajdującego zastosowanie w produkcji wyrobów mięsno-wędlinarskich.

KRONIKA KADROWA: W związku ze zmianą struktury organizacyjnej ŁZPB „Narew” odwołany został ze stanowiska zastępcy dyrektora ds. handlowych Aleksy Kurylo. Jego zakres obowiązków przejął zastępca dyrektora ds. ekonomicznych i pracowniczych Józef Maciąg.

PRACE SPOŁECZNE wartości 7 milionów złotych wykonali w ciągu 7 miesięcy br. mieszkańcy miasta i gminy Grajewo. Ulepszono między innymi nawierzchnię jezdni i chodników na ulicy Wojska Polskiego i Cmentarnej w Grajewie

przez długi okres, przez szereg lat a teraz ujawniła się ze zdwojoną mocą. Przyczyną trzeba, że nie zawsze w przeszłości potrafiliśmy im skutecznie przeciwdziałać. Nasze społeczeństwo w niewystarczającym stopniu było informowane na bieżąco o kłopotach, o stanie gospodarki, o narastających problemach. (...) Przerwywaniem pracy i łamaniem rytmiki produkcji naszego w Polsce nie załatwimy. Niczego nie rozwiążemy Wierzę w zbiorową mądrość klasy robotniczej, w jej świadomość klasową, wierzę w zrozumienie bolskiej racji stanu. Dlatego chcę powiedzieć, że przerwy w pracy nie tylko szkodzi gospodarce narodowej, ale w konsekwencji obróca się przeciwko klasie robotniczej i ogółowi ludzi pracy, godzą w ich żywotne interesy. (...) Mimo znanych trudności, rząd proponuje, aby do jesieni 1981 roku, czyli do przyszłorocznych zbiorów utrzymać bez zmian obecnie obowiązujące ceny mięsa i jego przetworów. Rząd jednocześnie będzie w swej polityce konsekwentnie zmierzać do zahamowania wzrostu kosztów utrzymania.

WE WRZESNIU należy spodziewać się zaostrzenia deficytu mocy energetycznych (około 1400 megawatów) co spowoduje konieczność bardziej radykalnego sterowania szczytowym poborem mocy i stosowania ograniczeń z zużycia prądu. W okresie szczytu jesienno-zimowego — według oceny resortu energetyki — ograniczenia w zużyciu prądu mogą przekroczyć 2000 MW.

PRZEGLĄD STANU zapasów węgla kamiennego w składach opałowych handlu detalicznego na koniec

oraz zasadzono 11 tysięcy drzewek i krzewów.

SPIS LIPCOWY w gminie Czyżew wykazał, że zmniejszyła się tu powierzchnia upraw zbożowych na korzyść roślin przemysłowych: buraków cukrowych, rzepaku, kukurydzy. Wzrósł areal upraw ozimych. W hodowli zanotowano spadek pogłowia krów i wzrost trzody chlewnej o 1,8 proc. Mniejsze — i to aż o 20 proc. — będą tu, tak szacują rolnicy, zbiory ziemniaków.

ROLNICY Z GMINY Perlejewo ścigali do pomocy w żniwach dwustu krewniaków z całego kraju. **NADMIERNE OPADY** szczególnie zaszkodziły łąkom i pastwiskom wypłukując z nich m.in. nawozy azotowe. Fachowcy doradzają szybkie „dokarmienie” traw azotem. Nie mogą tego zrobić rolnicy grajewscy, w tamtejszych magazynach brak nawozów azotowych; z dostaw, które nadejdą skorzystają tylko ci, którzy zakontraktowali zboża.

W SKLEPACH W NURZE brakuje podstawowych produktów spożywczych: soli, maki, dżemów, musztardy. Mieszkańcy jeżdżą więc do sąsiedniego województwa siedleckiego; jak okazuje się — zasobniejszego.

WŁADZE KOLNA mogą się pochwalić zapewnieniem miejsca w żłobku i przedszkolu dla każdego z potrzebujących tej formy opieki, małego obywatela miasta.

CZAS PRACY Urzędu Gminy w Klukowie reguluje PKS. Ponieważ większość pracowników dojeżdża, rozpoczynają oni pracę z półtargodzinny opóźnieniem. Interesantym pozostaje kilkakrotnie przychodzenie w tej samej sprawie.

NA DRODZE we wsi Zimna Łacha doszło do tragicznego wypadku. Kierowca syreny Andrzej K. poniósł śmierć na miejscu a dwaj pasażerowie zostali ranni. Przyczyna: uszkodzenie tylnego koła.

I półroczu wykazał, że zapasy te były o około 35 proc. niższe niż przed rokiem.

ZANOTOWANY W I półroczu spadek pogłowia bydła spowodowany jest głównie mniejszym zainteresowaniem hodowlą w gospodarstwach chłopskich: pogłowia bydła spadło tu bowiem o 3,7 proc., trzody chlewnej o 0,8 proc. a owiec o 2,4 proc. Wpłynęły na to niewątpliwie kłopoty paszowe.

OD 17 PAŹDZIERNIKA br. osoby wykonujące działalność gospodarczą na podstawie uprawnień i zezwoleń będą mogły, na swój wniosek, otrzymać we właściwym organie administracji państwowej wpis w dowodzie osobistym o posiadaniu uprawnień do wykonywania rzemiosła lub zezwolenia na prowadzenie handlu, działalności gastronomicznej i usługowej, projektowania w budownictwie oraz usług w transporcie drogowym.

CENNY PATENT na uzyskanie powłoki metalu zmniejszającej tarcie — bez potrzeby smarowania — uzyskał pracownik przemysłu bawlnianego w Łodzi, Andrzej Szakowski. Odkryta powłoka leży wysoce odgórnie na zużyciu z właściwościami antykorozyjnymi.

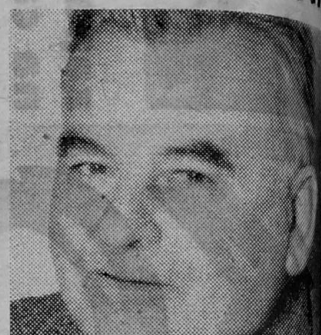
DUCHOWNY BUDDYŚKI odprawił 10-dniowe modły połączące z głódówką na terenie byłego obozu zagłady w Oświęcimiu w intencji zapobieżenia groźbie wojny nuklearnej.

NA KARY WIEZIENIA po 10 i 9 lat, grzywny 150 tys. złotych i konfiskatę mienia skazano 6-głównych oskarżonych w aferze paliwowej, jaka miała miejsce w Bielsku Podlaskim.

ARABIA SAUDYJSKA proklamowała „świętą wojnę” (dżahid) jako jedyną odpowiedź na nieprzejednanie stanowisko rządu Begina w sprawie aneksji Jerozolimy przez Izrael. W apelu królestwa „saudyjskiego, przyjmującego na siebie rolę strażnika świętych miejsc islamu, wezwano do całkowitej zmiany strategii arabskiej i do zjednoczenia wysiłków w celu zagwarantowania narodowi palestyńskiemu prawa do niezależnego państwa ze stolicą we wschodniej części Jerozolimy.

KRAJE EWG przedstawiły w Radzie Bezpieczeństwa projekt rezolucji wzywającej wszystkie kraje należące do ONZ, do nieuznawania zmiany statusu Jerozolimy oraz nie utrzymywania placówek dyplomatycznych w tym mieście.

dwadzieścia tyki ekonomiki



Sierpień. Czas żniwiarzy. Gdy przez pola wśród zbożowych łanów, wszędzie widzę pełno krzątających się ludzi; koszą, podbierając ustawiają sztygi. Starzy (bardzo starzy), dorośli, młodzież, dzieci, najmłodszą szkraby zostały w szronowych dzieciach. Reszta, oczywiście, na polach. W zagrodach zmierzchu cicho, pusto...

Trzeba się spieszyć, zebrać owoc całorocznego trudu. A goroczne żniwa są szczególnie trudne. Letnia (deszczowa) powódź oszczędziła właściwie żadnej polci kraju. We wszystkich województwach wiele hektarów zostało poplonych. I chociaż zboża są droższe: kłos pełny, a słomy dostatek — batalia o ziarno jest ciężka i czas ma szczególną cenę. Krótka każda słoneczna chwila, każda przerwa w opadach, które w języku meteorologów nazywane „przelotnymi”, lecz przelatują zbyt często.

Rozmawiałem niedawno z rolnikiem spod Nowogrodu. Dobry gospodarz, ma kartę specjalistyczną. Miał do mnie wyraźną pretensję.

— Odnoszę takie wrażenie — mówił — że traktuje się nas mało poważnie. W telewizji, radiu, gazetach roi się od instruktaży. Ale że trzeba żądać, robić podorywki, poplony, suszyć zboże, bo młokre, przygotować się do parowania ziemniaków... Jakże tak można! Cóż my nie wiemy, co mamy zrobić? To za gospodarz, który nie pilnuje zbiorów? Ale jeżeli już taki się trafi, to niewiele mu pomoże apele.

— Ale chciałoby się pomóc nikomu... — wtrącam.

— Pomoc, ale nie gadaniem. Pomoc to dostatek części do maszyn, akumulatorów, możliwość zakupu nawozów, nasion, dobre zaopatrzenie w wiejskim gospodarstwie.

I trudno mi się z taką argumentacją nie zgodzić. Znaczenia tej dla sprawy wyżywienia narodu, szczególnie w obecnej, trudnej sytuacji, nie można przecenić. Dla tego powinno się zapewnić rolnikom jak najbardziej sprzyjające warunki — zmniejszyć do minimum straty czasu, bezproduktywne biegi o to, co producentom ciężko należy.

W gospodarce zawsze występuje konieczność wyboru. Zawsze coś jest mniej niż trzeba. I dla tego osobiście uważam, że pomoc rolnictwu musi przejawiać się konkretnych czynach. Brak akumulatorów np. jest zjawiskiem powszechnym; nie załatwi się tego w z dnia na dzień. Ale jeżeli inaczej nie można — co by się stało, gdyby np. jeden czy drugi autobus nie zawiózł ludzi na niebezpieczną wycieczkę, gdyby nie wysłał pięciotomowych ciężarówek po kilowat skrzynkę brakujących części, a akumulatory z wozów pożyczono (czy, jak kto woli, „oddelegowano”) do akcji żniwnej.

Może nie wszyscy się z tym zgodzą, ale sądzę, że odmawianie służbom weekendu pracownikom czy też delegując zaopatrzenie po brakujący detal podciąganie, mniej tracimy ze społecznego punktu widzenia, niż godząc się na uruchomienie jednej chociażby maszyny.

W roku 1979 importowano pszenicy, jęczmienia i kukurydzy 6,5 miliona ton, wydając na ten cel ponad miliard złotych. Każdy kilogram więcej, do własnych pól, każdy złoty więcej poprawa bilansu żywnościowego kraju, to więcej zboża na chleb, pasze. Dlatego w żniwne dni myślę tylko konkretna pomoc.

JERZY BIEL

zdarzenia



PREZYDENT USA podpisał „Dyrektywę 59” zmierzającą strategię hipotetycznej wojny nuklearnej ze Związkiem Radzieckim. Dokument ten (przysięgany w tajemnicy przed własną administracją i opinią publiczną oraz atlantyckimi sojusznikami) zmienia główne cele amerykańskich środków masowej zagłady z aglomeracji miejskich i przemysłowych ZSRR na państwo i wojskowe centra dowodzenia.

KANDYDATEM NA PREZYDENTA USA z ramienia Partii Demokratycznej wybrany został Jimmy Carter, zaś na wiceprezydenta — Walter Mondale. W przemówieniu kończącym konwencję demokratów J. Carter stwierdził, że koncepcje R. Reagana (kandydata republikańskiego na prezydenta), który głosi ideę uzyskania przewagi strategicznej nad ZSRR grożą totalną katastrofą.

HELMUT SZMIDT w dniu 28 i 29 bm. złożył roboczą wizytę w NRD. Informacja o terminie wizyty zbiegła się z komunikatem o rozmowach L. Breżniewa z E. Honeckiem na Krymie. Podkreślono w nim potrzebę „ściślejszego poszanowania uzasadnionych interesów NRD, podobnie jak każdego innego suwerennego państwa”.

Trudno mi ocenić stronę literacką „Kontaktów”. Moim skromnym zdaniem jest to pismo ciekawe. Przyznaje, że brałem je z przyjemnością do ręki. Ogólna koncepcja graficzna jest bardzo oryginalna i z pewnością zasługuje na najwyższe oceny. Podobno mi się również winięta tytułowa, sądzę jednak, że nie powinna być w kolorze, tylko w czerni. Tworzy się wtedy mocniejszy efekt w stylu op-art. Kolor osłabia ten efekt. Świetnie poproszone są paginy. Jakość zdjęć pod każdym względem doskonała w porównaniu z tym, co się spotyka w innych pismach”.

ANDRZEJ PODULKA
Warszawa

Proszę wybaczyć — moim zdaniem artykuł Andrzeja Bartosza z dn. 3.VIII.80 r. pt. „Kto kogo” nie powinien się ukazać. Bo bardzo jest przykro, jeśli ktoś zostaje oczerniony, a w tym przypadku sklegowa — która jestem, oraz mój tato, który jest sołtysem. Jak mógł reporter w ten sposób potraktować ludzi prostych, przecież on spożywa chleb przez nich wypracowany — wyprodukowany. W tym człowieku nie ma poszanowania tej uczciwości i zrozumienia. Poza tym jest nieścisłość — w naszej wsi nie ma szkoły i tak starego nauczyciela, który znałby jej przeszłość i historię. Nie było też rozmowy ze sklegową, bo „szanownemu” panu reporterowi nie udzielałam wywiadu. Z tego wynika, że opis reportera o „przeprzeżeniu” i dostawie towarów — która odbywała się zarówno w południe i od północy, był tylko wymysłem (wyobraźnia) reportera”.

WIESŁAW PORZEZIŃSKA
Z OJCEM
Radziszewo-Króle

Serdeczne pozdrowienia z obozu warsztatowego łomżyńskiej MWD w Koźle nad Piszą”.

WIESŁAW KŁOSIŃSKI
wraz z adeptami pióra

Od pierwszego wydania gazety „Kontakty” stałem się jej prenumeratorem, bardzo polubiłem, gdyż interesują mnie sprawy swojego województwa”.

HENRYK SAMULSKI
Klukowo

Może i ty, redakcjo, nazwiesz mnie głupią babą i powiesz, że nie zajmuję się robotą tylko pisanie Ci listów. Ale zrozum mnie, ja piszę w imieniu swoim i kobiet z Andrzejewo: pośpiesz nam z pomocą przed zagrożeniem pijackim, jakie rozszerza się z baru naszej miejscowości. Czy naprawdę nie ma żadnej możliwości, aby temu zapobiec? Za późno już wtedy będzie, gdy połowę ludności w kraju zaliczyć przyjdzie do alkoholiczów. Należy tę chorobę zwalczać już teraz i likwidować jej każde źródło — nie odkładać do jutra”.

STANISŁAWA ZAKRZEWSKA
Andrzejewo

W artykule: „Człowiek w Skansenie” („Kontakty” z 6.07.80) przytoczono gawędę starego Kurpia, dożycy Skansenu w Nowogrodzie, ob. Juliana Swiderskiego, który opowiadał częściowo dzieje swojego życia oraz częściowo także dzieje Skansenu. To barwne opowiadanie o typowym dla gawędziarza kpiarzko-fantazyjnym stylu może być ciekawy tylko dla znawców języka kurpiowskiego. Natomiast przeczytanie dosłownie przez przeciętnego czytelnika może być przyczyną nieporozumień dzięki istnieniu fantastycznych przejawów często na granicy grotesku i blueffu. [...] Należałoby dodać, że duża i ciekawa główna wartość gawędy ob. Swiderskiego jest piękny, barwny język i fantazja, odtworzone przez Redaktorów. Należałoby je jednak odczytywać podobnie jak w opowiadaniach Paska czy Zagłoby. Może dobrze byłoby zamieszczać na łamach „Kontaktów” więcej łomżyńskiego pisma, nieco więcej próby autentycznego stylu opowiadań regionalnych”.

Doc. mgr JAN KULESA
Warszawa

Z okna kuchni w mieszkaniu Elżbiety i Ryszarda Danielewskich, znajdującym się przy ulicy Rządowej w Łomży, widać szeroką dolinę Narwi; odwiecznej Narwi, która płynie tym wyżłobieniem pomiędzy wzgórzami od milionów lat. Rzeka zmienia się wraz z rytmem roku — latem wąska, szarobłękitna; zimą siwa, okopana po obu stronach nawisami śniegu; wiosną rozlana aż po niebo.

— Wszystkich, którzy nas odwiedzają — mówi Ryszard Danielewski — prowadzimy do kuchni, żeby pokazać rzekę. Dla tego widoku nie zamienilibyśmy mieszkania na żadne inne!

— Ale z drugiej strony — z kobiecym realizmem dodaje żona Elżbieta — mamy górę węgla i kotłownię. Codziennie muszę wycierać sadzę z parapetu.

Oboje państwo Danielewscy pracują. Odwiedziłam ich więc w dniu wolnym od pracy; rano, bo po południu wybierali się z siedmioletnią córeczką Małgosią do babci, mieszkającej w Ostrołęce. W dużym pokoju nad stolikiem wisi kolorowa mata, a na niej pamiątkowe zdjęcia Gosi i jej dyplom ukończenia przedszkola.

— Będziemy mieli uczennicę — cieszy się mama. — Kupiliśmy już parę drobiazgów do szkoły.

— Gosia najbardziej lubi rysować — mówi tata. — Bierze mazaki i całymi godzinami zamalowuje kartki.

— Dziś mamy wyjątkowy dzień: wszyscy jesteśmy w domu. Mam czas zająć się gospodarstwem — mówi pani Elżbieta. — Normalnie wyjeżdżam do pracy o szóstej dwadzieścia, wracam około szesnastej. Maż jeszcze później. A kiedy trwa akcja jesiennych przewozów, wtedy jest prawie gościem w domu.

— Żona pracuje w Śniadowie, w Zakładzie Betonów Komórkowych „Prefabet”. Już osiemnaście lat w tej samej firmie. Ja — w łomżyńskim oddziale PKS-u. Pracuję w jednym zakładzie, chociaż na różnych stanowiskach, od 22 lat; teraz jako kierowca samochodów ciężarowych. Po paru latach pracy za kółkiem kraj wydaje mi się taki mały...

— I jakby za mało było tej jazdy,

ciągle byś biegał. To do lasu. To na stadion.

— Ty za to jesteś domatorką. Z domu nie można cię wyciągnąć. A człowiek po pracy musi wypocząć. Nie sztuka przyjść do domu i usiąść przed telewizorem. Pamiętaj, jak nasi znajomi wrócili ze Stanów Zjednoczonych? Opowiadali, że tam ludzie odpoczywają bawiąc się, jak dzieci. I to bez alkoholu!

— Nie narzekaj. Chodzisz na stadion, w zimie na narty. Jeździsz na jakieś zawody.

— Zawody... spartakiady resortowe. Mam już tych lat sporo, ale z młodymi jeszcze potrafię wygrać. Bo jestem zawzięty. Jak robić, to robić, jak się ścigać, to na całego.

— No właśnie. Tyle tych dyplomów, że nie wiadomo co z nimi robić.

— Ale nie o dyplomy tu chodzi — mówi pan Ryszard. — Tylko o sport masowy. Kiedyś na stadionie były jakieś biegi. Dzieci ścigały się na rowerach. A teraz przepustki, karty wstępu... Najwyżej na kortach tenisowych, jak jest pogoda, ktoś tę piłkę klepie. Przyjdzie święto, dzień wolny, co robić? Dobrze, że festyny w łasku jednaczeńskim się organizuje, chociaż głównie handlowe.

— Maż na nartach co zimy jeździ, a działaczom w Łomży do głowy nie przychodzi, że można tu narciarstwo uprawiać.

— Nie pamiętam już dokładnie, która, ale jakaś organizacja sportowo-turystyczna miała zamiar kiedyś, założyć wyciąg narciarski na górze Królowej Bony. Na zamiarach się jednak skończyło. Mamy teraz lato, ale warto by — już teraz o tym pomyśleć. Zimą spotykają się tam na nartach sami panowie w emerytalnym i średnim wieku; ci, którzy

o tych terenach wiedzą. A dzieci i młodzieży nie widać. Warunki do saneczkowania są idealne. W kotlinie nie ma wiatru, jest dobre nasłonecznienie, ciepło. Tylko dojechać trudno. Trzeba by drogę uporządkować. Jeszcze przed wojną na narty chodzili tam łomżyńscy.

— Mamy sporo zdjęć z naszych rodzinnych wypraw na łono natury — pani Elżbieta sięga do szuflady i wyciąga cały plik czarno-białych i kolorowych fotografii. — O! Tu są zdjęcia z nad Narwi. Tu nasi przyjaciele. Tu Gosia.

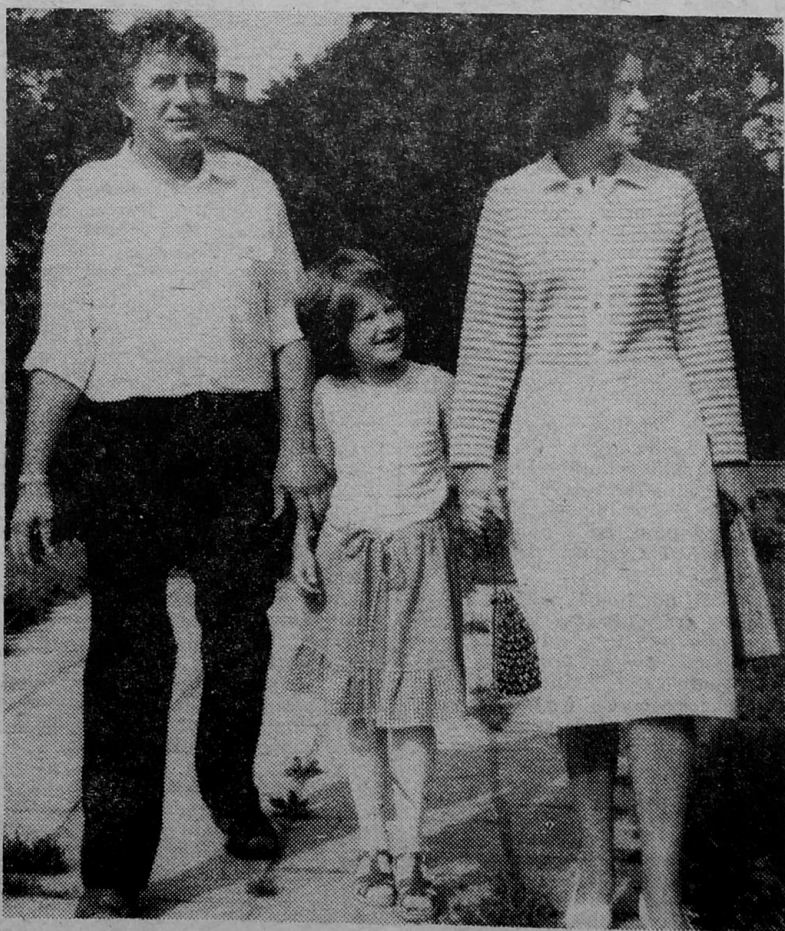
— Pokaż nasze podwórko — pan Ryszard pomaga żonie szukać i wyciąga kolorowe zdjęcie, na którym hałda węgla zasłania okna parteru ich bloku. — Tak jest parę razy w roku.

— Maż sam fotografuje. Te zdjęcia na macie to też jego dzieło.

— Kupiłem kiedyś „Practicę L-2” i tak się zaczęło. Należałem nawet do Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego. A na pierwszym kolorowym zdjęciu utrwaliłem pierwszy samochód, na którym jeździłem; jechał. O, proszę zobaczyć. Sam zdjęć kolorowych nie wywołuję. Próbowałem, ale to bardzo skomplikowane. Ostatnio przerzucam się na slajdy. Wie pani, ten widok z okna jest taki... no, że człowiek chciałby go zabrać z sobą. To jest takie pragnienie, jak z kwiatami: człowiek zbiera i niesie do domu.

— A teraz porozmawiajcie ze mną — upomina się Małgosia i zadzierając nosek do góry, dodaje: — Sytuacja wyjątkowa. Tata jest w domu.

TERESA POŁECKA
Fot. Gabor Lörinczy



co u państwa słychać?

tata jest w domu

ka; schody trzeszczą, gdy się niesie wiadro z węglem albo ze śmieciami i pomyjami. Trzeba bokiem iść, jedną nogę do drugiej dostawiać. Wąsko. Ciemno. Kiedyś na klatce była żarówka, ale ktoś ją rąbnął; kiedyś na klatce zgwałcili dziewczynę; kiedyś na klatce zrobili sobie ubikację klienci pobliskiego sklepu z piwem; kiedyś na klatce było malowane, ale kiedy?

R.Z. mieszka tu aż dwadzieścia lat. Obstałowała takie schodowodrabiniane wejście, nawet z poręczą elegancką, żeby można było dostać się wyżej, pod sam dach, gdzie nawet zgody na strych nie chcieli dać, bo deski słabe. Ale ona wygospodarowała „wyszkę”, dwa na dwa dwadzieścia, i wstawiła koze, wypuszczając rurę przez świetlik.

R.Z. nie puka się w czoło, dla niej Jantar to pokój z kuchnią. Była u sekretarza i prezydenta; obiecali, to i dotrzymają. Na razie chodzi na budowę i ochrania robotników: „Róbcie dobrze, bo to moje domy”.

W 1976 r. wybudowali w Łomży 321 mieszkań, z tego 35 w budownictwie indywidualnym.

W 1977 r. wybudowali 341 mieszkań; 63 indywidualnie.

W 1978 r. — 765 mieszkań; 103 indywidualnie.

Na początku roku 1979 prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej, Jan Zawadzki miał w biurku listy z 1650 nazwiskami oczekujących członków i z 3960 nazwiskami kandydatów.

Aby wydebić stal zbrojeniową, należy złożyć zamówienie na trzy-cztery lata wcześniej. W tym systemie prezes Zawadzki zdobył (dla przykładu) stal na jeden pawilon sklepowo-usługowy dla Jantara, a składał zamówienie na trzy.

Lecz przecież w ciągu pierwszych czterech lat istnienia województwa do domów w Jantarze zdołało się wprowadzić ponad 8 tysięcy ludzi.

W tym czasie — nie czekając na objawienie kolejnego wyżu demograficznego i mając jeszcze za sobą ogon starych zaległości oraz zamknięte dla nowych chętnych listy kandydackie w spółdzielni mieszkaniowej — zaplanowano na polach obok Jantara drugie osiedle. Na 11 tysięcy mieszkańców.

Jednopiętrowy, obszerny budynek. Przy drzwiach tablice z napisami: „Zespół Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych”, „Państwowe Pogotowie Opiekuńcze”, „Państwowy Dom Dziecka”.

Ten Dom ma za sobą tradycję. Powstał w roku 1928; prowadziły go początkowo siostry zakonne. Oblicza się, że od początku istnienia przeszło przez niego blisko 1000 wychowanków. Dziewięć lat temu otrzymali nową siedzibę, mieszczącą obecnie 150 dzieci. Przeszło połowę stanowią sieroty społeczne; w jednym przypadku — z dobrowolnej decyzji rodziców. Przyczyna pozbawienia władzy rodzicielskiej w pozostałych — jednakowa: alkoholizm rodziców, prostytutka.

Ale dyrektorka Domu, Wanda Krasuska, nie tym jest wstrząśnięta najbardziej: — Od pięciu lat, odkąd jestem dyrektorką tej placówki, miałam zaledwie 12 adopcji.

Dom i wychowankowie otrzymują dużą pomoc wszelkich instytucji. Żyją zaś jakby własnym życiem obok mieszkańców wojewódzkiego miasta.

Przyspieszył się czas Łomży. W roku 1976 zatwierdzono nowy, ogólny plan rozwoju miasta, budowany na bazie programu porządkowania Łomży, zakreślonego na lata 1976—1980.

Jeden z notabli: — Normalnie, zrobiliśmy plan, bo z planem trzeba działać. I czemuś nagle zrobił się szum...

Zjechali do Łomży dziennikarze z całego kraju. Byłem wśród nich. Zima roku 1977 była ostra. Ostatnie pięć kilometrów na drodze z Warszawy podwoziłem babcię z koszem; jechała sprzedawać oskubane kurczaki przed halami na samym środku rynku. Spytałem babcię, co w Łomży ciekawego.

— Panie, a co tu może być ciekawego? Od starego dawna to samo. Łomża — jako pierwsza — dawała przykład innemu, bo kompleksowego działania. Zatem — nieczęskowanie dla samej siebie — stawała się wzorem dla innych. Ciekawi



drabiniane wejście

SŁAWOMIR SIWEK

byliśmy: ugnie się pod tym ciężarem czy nie?

Ministerstwo Administracji określiło rzecz następująco:

Miasto liczyło 32 tysiące mieszkańców; może osiągnąć najwyżej około 100 tysięcy.

Plan rozwój miasta powinien wypełniać całkowicie jego granice administracyjne.

Należ je projektować łącznie z pobliską Piątnicą.

W planie musi być wykazany docelowy rozwój, żeby za jakie 20 lat nikt nie żałował, że nie wyrzekał, że miasto straciło szansę.

Mieli do dyspozycji dwóch architektów. Wyszukali jeszcze pięciu. Dostali plany z 1964 i 1976 r. Porównałem je. Pokrywały się. Oba nawet w tej samej skali. Ot — skala dokonana...

Dostali czas: dziesięć miesięcy. Główny wówczas architekt województwa, Zdzisław Hanyszowa, powiedziała mi: — Pierwsze zlecenie a pracowanie i przeprowadzenie prac związanych z zagospodarowaniem centrum miasta skierowaliśmy do Pracowni Sztuk Plastycznych w Białymstoku. I nie zrozumieliśmy się. Zapytałem mnie, czy chcę odmalować kamieniczki w gotyku, czy w renesansie.

Nie zrozumieli się... Chodziło bowiem o kompleksowe rozwiązanie zagospodarowania centrum, od renowacji kamienic — po wystroju kiosków „Ruchu”, a nie o wycinki. Oto charakterystyczny przykład łomżyńskiego stylu działania: pięciu speców różnych dziedzin dostali polecenie szukania programu rozpracowania całości Starówki. Łazili po lokalach, szukali ich przyszłego przeznaczenia, tymczasem w szufladzie ówczesnego prezydenta miasta, Jana Rachubki, spoczywał już gotowy w zasadzie program układu sieci handlowej.

— Chomikował go pan?

— Pomyślałem: niech opracują swój i porównamy.

Po dziesięciu miesiącach, 25 października 1976 r., zatwierdzono nowy, ogólny plan rozwoju miasta.

Dokumentacja dotycząca modernizacji ulicy Wojska Polskiego została przygotowana na jeźdnię o szerokości 10,5 metra. Odkryło się kilka narad koordynacyjnych. Aż tu prezydent miasta uparł się na 13 metrów szerokości! Siedzieli specy wokół stołu palili papierosy pili kawę i herbatę a prezydent namawiał: „Moż spróbujemy?” I byłem przekonany, że na początku nie śmiały się tylko prze szacunek di urzędu. Ale okazało się, że do dyskusji przygotowywał się solidnie. Przyszła „na urząd” z przemysłu, a tam ceni się fachowość, nie znosi fuszerki i wodolejstwa. Przekonał.

Tak właśnie powstawał program porządkowania miasta na lata 1976—1980, obejmujący 13 rozdziałów i około 200 zagadnień problemowych gdzie wpleciono również informacje Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków, Witolda Lempi, o możliwościach rewaloryzacji obiektów zabytkowych. Szczegóły dopracowywano w planach rocznych. Razem z planem zespołu Hanyszowej — stanowiło to nierozdzielną całość, która już miała nogi i głowę. Czas było zaczynać.

Założenia planu społeczno-gospodarczego dla miasta wojewódzkiego Łomży na lata 1976—1980 liczbę mieszkańców 32 tysiące : czego 14 tysięcy zatrudnionych w gospodarce społecznej. W samym przemyśle — 6400. Wartość produkcji w roku 1976 — 5 miliardów złotych; wartość produkcji rynkowej — 2 miliardy złotych; w roku 1977 o 700 milionów złotych więcej, wskaźnik wzrostu tej produkcji w roku 1980 — 65 proc.

Ludzie czekali głównie na mieszkania. Wiceprezydent Łomży, Józef Przesław powiedział, że władze

chciałyby doprowadzić do stałego rocznego wzrostu (o 100) domów indywidualnych. Po euforii pierwszych lat województwa — przy mowali. Do Wicewojewody Stanisława Ciupy zachodzili interesowani głównie ze sprawami mieszkaniowymi.

Dominował przemysł lekki i no-spożywczy. Było w mieście punktów sprzedaży detalicznej powierzchni 15 tysięcy metrów. W 1980 r. powierzchnia ta miała zwiększyć o 40 proc.). Na początku programu przeobrażeń Łomży w mieście 16 zakładów żywnościowego, w 1980 miało ich być dwa razy więcej.

Browar i „Bawelna” oraz z Łomży — to nowoczesność. Komputer przy rozdziale mieszkań to nowoczesność. Sklepy. Pierwsze windy w Jantarze — wszystko nowoczesność.

Dworzec PKS to barak; do dywanego ruchu wchodziło się jak poczekalni na przystanku kolejowym w jakimś gminnym ośrodku o tysiącu dusz. Dyżurny rucił Witold Piaśnik, rozłożył kłosa wyjazdów i obliczał. Najpierw jedną ręką, potem na drugiej, tem ja wyciągnąłem rękę i jemu pożyczylimy palców od jakiegoś kierowcy: do godziny 9.00 miały być 100 kursów, ale 22 wypadły, nie ma części zamiennych.

— A ludzie dzisiaj takie, pięć kilometrów na piechotę podejda.

Już wychodziłem od dyżurnego ruchu PKS-u, ale on sobie przypomniał: — Mamy jeszcze ka wozów rozbitych, — jeździ posypują, ślisko.

A przy hali Bąk się nudził, la targowa rozsiadła się prawo od ratusza. Bąk wiał przy niej co rano. Czasem zdejmował chłopa z fury, czasem strzelił sobie piwko. I ukradł coś babie ze straganu, przynajmniej rozrywka była, bo ganił.

A tymczasem na ratuszu szwali szurm na bałę; może być gowa, ale z prawdziwego zdarzenia. Może jakaś dyskoteka albo ścieba plastików? Czyli coś z kultury.

Jedno kino. Czasem występował w nim przejezdny teatr. Dwie karnie, gdzie można trafić to, w Warszawie czy Krakowie spod

— Tak sobie opowiadamy rzeczy i nam wychodzi, że ten program i to wasze działania zasługują wład.

Wiceprezydent Józef Przesław. Nie. Gdyby nie udział miesz

Człowiek z pieniędzmi na wykonanie nowych zakładów w roku 1976 nie potów nie było. Natomiast był materiałami i tzw. mocami przerobowymi.

W rezultacie — rzecz niebyła w roku 1976, u progu realizacji programu, nie wykorzystali 11 milionów złotych — właśnie ze względu na niemożność przerobu. W roku 1977 sytuacja podobna: nie wykorzystano 7 milionów złotych, pierwszy rok 1977 przyniósł dobry zultat i jeszcze zabrakło trzy miliona w żywej gotówce. Wtedy nie pomoc mieszkańców — była jeszcze gorzej. W latach 1976—1977 czynnym społecznym przeobrażeniem miliony, a w 1979 — 15 milionów złotych.

Ludzie napierali. Trudno im było, że jak się mieszkało w kilkadziesiąt lat z kózą przysięgi, to niestraszne jeszcze parę się: przynajmniej ściany

Do pięciu bloków w Jantarze wręczono ludziom klucze. Wtedy że wprowadzają się do budynków nie podłączonych do sieci ciepła a właśnie zaczynała się jesień, miesiąc wszystko będzie — rafał facci z torbą narzędziową na cich którzy pukali, do drzwi siedlonych mieszkań i informowali, że mogą kurki i kaloryfery wykrecić za stówę.

Tymczasem — drobnotak brakło jednego kilometra rur, kowało także: waty, gazu do wania, krzywek i cholera wie co jeszcze, a w zasadzie — wszystko. Wojewoda dzwonił, błagał, gadywał się, kłął i groził.

Wreszcie było czym robić, było kim. Wtedy właśnie wzięli ludzie. Wzięli łopaty i kopali w topadowej ziemi doły, kładli

W połowie listopada popłynęła do bloków ciepła woda. Tworzyła się świadomość: „to nasze”. Lecz nie we wszystkich.

— Kopać kopalem — powiedział A.R. — ale cały czas myślałem o tym, dlaczego, u diabła, mam tylko ja o świadomości pamiętać, do tego jeszcze — robiąc coś za kogoś! Jednak się tworzyła.

Wiceprezydent Przesław poprosił o kawę dla mnie i kogoś z wykazami — dla siebie. Powiedziałem: — No to jeszcze rok, jeszcze ten cały 1980 rok, i przyjdą do pana rozliczać całość, bo coś mi się zdaje, że będą trudności obiektywne.

— Trudności będą, nie tylko obiektywne. Zbliżamy się jednak do końca, i to zadowalającego. Zrobimy to, co zakładaliśmy, z wyjątkiem rewaloryzacji.

— A jednak!
— Nie bardzo. Bo my oddzieliśmy sprawę rewaloryzacji od porządkowania.

A było tak: któregoś lata wybrała się delegacja w objazd kraju zaskakiem rewaloryzacji. Zwiedziła parę miast, które głośno mówią, że rewaloryzują, a tymczasem odprawiają słynne „pacykowanie na Desę”. Prawdziwych rewaloryzacji też delegaci obejrzyli kilka. I pomyśleli: to co najmniej dwadzieścia lat solidnej roboty. Zatem Wojewódzkie Biuro Planowania Przesławnego dostało polecenie (wykonane w roku ubiegłym) opracowania szczegółowego planu takiego przedsięwzięcia; planu obejmującego obszar ogromny, w obrębie ulic: Zamojskiej, Wiejskiej, 1 Maja, Armii Czerwonej, Sikorskiego i Narwi. Jednostkom komunalnym przekazano przygotowanie się od strony technicznej, a Pracownia Konserwacji Zabytków dostała lokalizację bazy.

Szykował i szykuje się drugi program. Łomża jakby źle się czuła w postojach.

W tak zwanym międzyczasie wydano 300 decyzji rozbiórkowych na różne chlewki na Starówce. Ciężko przychodziło Kowalskiemu z tym się pogodzić, ale w końcu zrozumiał — sam wziął łom. Śni się wszystkim w Łomży wizja szmalu z kurtyki.

W tak zwanym międzyczasie przebrano parę ulic, położono 10 kilometrów sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, położono 90 proc. nowych kabli telefonicznych, od czego telefonów nie przybyło, ale będzie na przyszłość jak znalazł, bez prucia jedni.

Zrobili jeszcze coś: podwaliny wspólnego działania. Oto przy Urzędzie Miasta powstała Rada Prywatników. Jest problem — zdzwania się. Na naradzie mówią: teraz powiedz, chłopie, w oczy prezydentowi i innym ważnym, dlaczego zawaliliśmy, i że coś tam jest nie do załatwienia.

— No tak — powiedział wiceprezydent — rozwiązaliśmy tyle spraw, wydawałoby się, nie do rozwiązania, ale do tego potrzebna nam była „żywa” rada, nie jakiś tam sztuczny twór.

Zdawali w Łomży jeszcze jeden egzamin — nowego stylu działania, zarządzania, egzekwowania. In gremlin.

Niedaleko rynku wlałem do sklepu i mierzyłem jakieś spodnie, ale nie pasowały. Jak zwykle w takich przypadkach — zachciało mi się jeść. Mniej więcej naprzeciwko jest bar ajenowy, w którym dają swojską, wietną jajecznicę, z jeszcze lepszym nalebem.

Przysiadł się do mnie General. General miał na sobie nieprawdopodobnie ładny, umiarkowany, komarowy i świecidełek. Patrzył na moje jedzenie jajecznicy i z wróżną zapewne skromnością oznajmiał: — Jestem General. Widzisz tych ludzi? Ja ich poprowadzę do rzeczy wielkich!

Z okienka wychyliły się uśmiechnięte kucharki. Zamysliłem się: Przy rzeczach wielkich zawsze pierwszy jest dziwakiem.

SLAWOMIR SIWEK
Fot. GABOR LÖRINCZY

dom — widmo

Dom Nauczyciela w Wiźnie wiadać z daleka. Prostopadłościenną bryłą wyrasta z łanów zboża na wysokim brzegu Narwi. Budynek jest w stanie surowym. Od dwóch lat. Urządzono tu

kompetencje w ściekach

Woda dzieli ludzi i łączy. Doświadczając tego od lat mieszkańcy domów nr 25-32 przy ulicy Mickiewicza w Kol-

nauka poszła w las

Trzyletni Dariusz P. — podczas zabawy na ulicy Zambrowskiej — wpadł do studzienki kanalizacyjnej o głębokości prawie czterech metrów; doznał wstrząsu mózgu i przebywał w szpitalu w Łomży. Kto ponosi odpowiedzialność za ten wypadek, który mógł zakończyć się większą tragedią?

Ojciec dziecka, Ryszard P., mówi: — Niech pan zobaczy, mamy tylko taki kawałek podwórka; z jed-

do szkoły pod górkę

Dzień rozpoczęcia nowego roku szkolnego od kilku lat jest uroczystym dniem radości i święta szkoły. Dla dzieci z osiedla Jantar jednak prawdopodobnie — dniem złyh przeczuć i obaw. „Szczęśliwe matki” niepokoją się już od kilku tygodni. W osiedlu, jak do tej pory, wybrano jedynie miejsce pod budynek dziesię-

magazynu cementu. Trzy ściany stoją, czwarta wyrwana. Z dziurawego dachu kapie na podarte worki. Wokół skamieniały cement, około dwudziestu worków. Obok zardzewiały wrak autobusu. Wybite szyby w oknach zastawiono pustakami. Wokół martwa cisza i tylko wiatr marszczy lustro wody w piwnicy.

— Chyba nie należało budować w tym miejscu — mówi mieszkający obok rolnik. — A jeżeli już zbudowali, to trzeba było teren zmeliorować. Przecież wystarczyłoby 200 metrów drenów i woda popłynęłaby do Narwi. Ludziom zabrali tyle ziemi i zmarnowali ją. Gdyby dali komuś, to posadziłby chociażby ziemniaki.

Naczelnik Wiźny jest bezzilny. Nie może znaleźć wykonawcy do robót wykończeniowych. Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego w Grajewie postawiło budynek

nie. Po większej ulewie każdy z nich, kto pierwszy wstanie i zobaczy piwnice zalane wodą, alarmuje sąsiadów: „Wstawajcie, ratujcie, co się da!” Z zalanych piwnic można wybierać ziemniaki i warzywa. Czasami udaje się im uprosić straż pożarną o wypompowanie wody. Po stoku podwórza płynie ona także do stodół; podtapia słomę i maszyny.

— Za mały jest przekrój rur kanalizacyjnych — twierdzi Witold Bazydło. — W tym miejscu ulica biegnie na najniższym poziomie i woda spływa z różnych stron.

— Należałoby więc podnieść poziom chodnika — radzi Marian Ciszewski. — Zrobilibyśmy to sami, gdyby przywieźli chociaż trochę żwiru; każdy pomógłby.

— Chęci przecież nie brakuje — mówi Antoni Sekciński — dzisiaj, na przykład, czyściliśmy studzienkę.

nej strony ubikacja, z drugiej stare, drewniane szopy, pośrodku struga gnojówki. Dziecko w domu nie usiedzi. Gdyby choć odgradzili nas od drogi. Natomiast dla pracowników Zakładu Drogowego z Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Łomży sprawa jest prosta: uważają, iż Dariusza powinni dopilnować jego rodzice.

Dopóki na ulicy Zambrowskiej „urzędowało” Białostockie Przedsiębiorstwo Robót Inżynierskich, ponoć wszystko — jak mówi kierownik budowy — było w porządku. Pracownicy Przedsiębiorstwa, wykonawszy swoje zadania, założyli studzienki, pokrywę, obetonowali je, i w takim stanie przekazali odcinek ulicy Zakładowi Drogowemu. Nowy wykonawca — widząc: wdzieniczny słuchacz znanego drogowego szlagieru „Przyjdzie walec i wyrówna” — sprowadził spycharki, a te splantowały koryto ulicy jak trzeba, zsuwając również betonowe pokrywę ze studzienek lub uszkadzając je. Upiwały tygodnie, a z ponownym zakryciem studzienek i usunięciem groźnego

ciolalki. Do innych szkół w Łomży nie ma nawet dobrej drogi. Kiedy zaczyna się jesienne szarugi... Przypuśćmy, że dziecko zechce jeździć autobusem. Jeżeli nawet w miarę szczęśliwie przebrnie przez osiedle, długo poczeka sobie na kapryśny środek lokomocji. Chodzenie pieszo ulicą Świerczewskiego dostarczyłoby mu wielu emocji — tu ogromna kałuża, tam bagnisko, tu obalone przez wicher drzewo, tam pani sprzedająca lizaki, tu śmieszny pan, tam straszny pies. I samochody. Skrót ulicą Zawadzką też nie jest bezpieczny — ciężkie samochody dojeżdżają tamtędy na budowę. Nie ma chodnika. Ale jest błoto po kostki. Nie w każdej rodzinie znajdzie się ktoś, kto miałby cierpliwość (nie mówiąc już o czasie) sześć razy w tygodniu odstawiać dzieci do szkoły. Może więc warto by pomyśleć o organizowaniu większych grup uczniów odprowadzanych przez jednego dorosłego?

Zastanawiające, że jedynie rodzice i nauczyciele widzą problem. „Wszyscy wychowujemy nasze dzie-

w stanie surowym (na dwanaście rodzin), lecz wykończenie pozostało innym, razem z cementem. Naczelnik snuje plany przekazania prac grupie remontowej spółdzielni produkcyjnej. Ale w tej chwili jest to przysłowiowe dzielenie skóry na hasającym niedźwiedziu, bowiem spółdzielnia istnieje dopiero na papierze i nie ma nawet na czym powiesić szyldu.

Teren zmelioruje Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracji w Łomży; nie wiadomo jednak — kiedy. Zamierzają wykonać to jesienią ubiegłego roku, ale zabrakło funduszy. W tym roku przymierzają się znowu, na jesień.

Na mieszkania czekają nauczyciele gnieźdzący się w wynajętych pokojach. A okoliczni rolnicy pokazują przyjezdnym dom-widmo jako przykład złego gospodarowania i marnotrawstwa: czasu, ziemi i materiałów budowlanych. (wk)

Dyrektor Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, Wiesław Grabek, studi te zamiary: — Lokatorzy mogliby częściej sprzątać ulicę, wówczas kolektor nie zatykałby się tak często. Wystarczy trochę piasku i woda nie będzie miała przepływu. Rację mają również ci, którzy twierdzą, że kratka znajduje się zbyt daleko od krawężnika ulicy. Ale konserwacja ulicy należy do Rejonu Dróg Publicznych w Grajewie i my nic tutaj przebudować nie możemy. Do nas należy przetykanie kanału i oczyszczanie krątek wlotu. Mogę obiecać, że jeśli nie otrzymamy z Urzędu Miasta i Gminy innych zleceń, w tym roku chodnik przebudujemy.

W ten sposób mieszkańcy ulicy Mickiewicza znajdują przynajmniej podział kompetencji w trudnej dziedzinie ścieków. Im samym pozostaje umocnienie stosunków dobrosąsiedzkich i wzajemna pomoc. (wk)

niebezpieczeństwa nikomu się nie spieszyło. Pracownicy spokojnie rozbierali piasek, układali krawężniki, słowem: robili to, co do nich należało. Nikt z kierownictwa robot, a tym samym ze służb bhp, nie zauważył niebezpieczeństwa. Dopiero po wypadku zrobiono to, czego powinno się dopilnować od razu: obudowano zniszczone studzienki kanalizacyjne.

Nie pierwszy to już raz, niestety, przychodzi cytować stare powiedzenie o Polaku, co to przed szkoda i po szkodzie... Niewiele miesięcy minęło od szeroko opisywanej w prasie i mrozącej krew w żylach historii o dziecku, które przeżyło na dnie studzienki sześć dni, odzyskując się tylko wodą deszczową, a budowniczości z Łomży popełniają identyczne błędy, nie tylko zresztą na ulicy Zambrowskiej; również na osiedlu Jantar, gdzie znajduje się jeszcze wiele odkrytych i uszkodzonych studzienek. Rodzice pilnują swoich pociech i drżą o ich bezpieczeństwo, a przedsiębiorstwo, pomimo wielokrotnych sygnałów, czeka na kolejny wypadek. (sz)

ci”, ale w zasadzie tylko wtedy, gdy możemy je skarcić za zbyt głośny śmiech, wiercenie się w zatłoczonym autobusie. Gdy trzeba jednak pomóc... Można też szukać innych rozwiązań. Np. Zakłady „Narew” dowożą do pracy swoich pracowników specjalnymi autobusami. Nie można by jednego czy dwóch kursów poświęcić na przewóz dzieci? Wydać mi się, że gdyby nawet żaden zakład nie miał takich możliwości, znalazłby je Zakłady Komunikacji Miejskiej. Nie chodzi już o dodatkowe linie (choć do osiedla, oprócz dzieci, chodzą także staruszki, matki z wypchanymi siatkami), ale o zmianę trasy (jednorazowo) któregoś z autobusów, aby mógł dzieci odwieźć pod szkołę. Nie jest to przecież pomysł nowy. Wykorzystuje się go, i to z powodzeniem, wszędzie tam, gdzie dobro dziecka jest zasadą. Może i w Łomży znajdzie się ktoś odważny, kto podejmie tak potrzebną decyzję.

BEFANA



Gmina Ciechanów zajmuje cały południowy kraniec województwa łomżyńskiego. Znała jest nie tylko z gospodarności, ale i z pieczołowicie kultywowanych tradycji rolniczych. Jeszcze nie tak dawno porzucane splachetki ziemi w gospodarstwach chłopskich dawały mierne plony, które z trudem mogły wyżywić swoich gospodarzy. Gmina szybko odrabiała dystans dzielący ją od innych regionów kraju. Miejsce starych, krytych strzech chat zajęły nowoczesne, murywane domki. Na drogach — zamiast woźniców w maciejówkach, zacinających batem konie — powszedni stał się widok traktora. Rozrosły się zabudowania gospodarskie i przybyło w nich plonów.

Dzieje rodziny Krukowskich z Kolonii Sawczyn podobne są do setek innych rodzin. Wzcpieni z chłopską pązością w swoje piaski — trwali na przekór dziejom, mijającym epokom, ludziom i sobie samym. Odważnie przyjmowali wszystkie radości i smutki, jakie przynosiła im ta mało urodzajna ziemia.

— Tu przed czterdziestu laty nie było nic — pokazuje zamieszanie Antoni Krukowski. — Niemcy, obawiając się partyzantów, spalili wszystko, a ziemię kazali zorać. Teściowie musieli opuścić rodzinne strony. Jak te gonione psy, powlekli się na wygnanie. W czterdziestym drugim, na tej tułaczce, poślubiłem żonę, Eugenię. Nieraz byliśmy bliscy załamania. Dookoła płonęły chłopskie zagrody, przybawało przy drogach mogiły, a my ciągle wędrowaliśmy. Ciągnęliśmy teściów i żonę bliżej stron rodzinnych, aby — jak tylko Niemcy pójda, od razu zabrać się do dzwignia gospodarstwa. Ziemi było sporo: około piętnaście hektarów. Już po cichu marzyłem sobie, że dzień i noc będę tam pracował, a z tych piasków uczynię ogrody. Tymczasem przychodziło nam jednak jeszcze wiele razy pakować nasz chudy dobytek w torbę i uciekać przed zbliżającym się frontem. Całe tygodnie żyliśmy w jego sąsiedztwie, budując okopy dla Niemców. Zona bardzo ciężko przeżyła ten okres — była w ciąży. Odbiło się to na najmłodszej córce. Ten strach wsączył się jej do krwi na stałe. Umarła, a lekarze powiedzieli, że to wina wojny.

Przeszedł front. Cudem unieśliśmy głowy. Pomyśleliśmy wtedy, że nasze ocalenie było nagrodą za przywiązanie do ziemi. Gdy powróciliśmy, okazało się, że była to raczej kara. Na miejscu chałupy można było znaleźć jedynie jakąś zardzewiałą motykę, skorupy z garnków, które wraz z tym, co przynieśliśmy w tabołkach, stanowiły nasz cały majątek.

Trzeba było jakoś żyć. A właściwie byliśmy skazani na życie; tak myślę po tych paru dziesięciokach lat. Pole zastaliśmy obsiane łubinem. Ni garści zboża, ni prosiaka. Udałem się po pomoc do ojca. Szczęściem wojna nie dotknęła go tak bardzo. Dostałem konia, dwie krowy, świnia. Wstąpiła we mnie nadzieja — było z czym zaczynać. Najpierw pobudowaliśmy „kurnik” — taką chałupkę podszutą wiatrem, z jednym pomieszczeniem, w którym mieszkaliśmy wszyscy. Dopiero później pomyślałem o budowie domu. Las był swój, tak jak tylko swoje dwie ręce. Pomagała mi żona; ale cóż może zrobić dwudziestoletnia dziewczyna? Kłoce trzeba było ręcznie pilować na deski i bale. Dorodne sosny cięciem siekierką na skałki (szczapy) i z nich dopiero budowałem dom. Nie było materiałów budowlanych. Po wapno jeździłem koniem aż do Szeptowa — czterdzieści kilometrów w jedną stronę. W końcu stanął dom, który dotrwał do dziś.

Potem przyszła kolej na studnię, bo jak się obyć bez wody? Nie można jej wozić przez całe życie w beczce ze wsi. Kopalem dół, żona wyciągała ziemię. Przekopaliśmy całe dziesięć metrów. W końcu jednak znaleźliśmy źródłaną wodę, jakiej nie ma cała okolica.

Wspomnienia przerywa najmłodsza wnuczka, Iwonka, które wdrapuje się na dziadkowe kolana. Druga wnuczka, Agatka, staje z tyłu.

— Oto zajęcie na stare lata — wzdycha Antoni Krukowski — niańczenie dzieci. Przyszedłby się jeszcze wnuczek, żeby było komu zostawić gospodarstwo.

— Co tata mówi — przerywa syn. — Toć i baba może teraz pro-

wadzić gospodarstwo. Żeby tylko chciała zostać na wsi.

— A pan został — przerywam — podczas gdy rówieśnicy garnęli się do miasta na łatwiejszy chleb?

— Kto by kontynuował drugą część sagi Krukowskich — śmieje się Jan. — Tak na prawdę dlatego zostałem, bo chciałem być rolnikiem. No — zastrzega się — ale tylko nowoczesnym rolnikiem! Trzydzieści hektarów, jakie otrzymałem od ojca i dziadka, daje mi dobrą podstawę spełnienia moich planów. Sześć krow i szesnaście opasów, hodowanych przez ojca, to jeszcze nie wszystko. Specjalizacja specjalizacją, ale pług plugiem. Nie mogę zrezygnować z uprawy żyta i okopowych. Słaba ziemia da tylko wtedy plon, gdy będzie się żyć z ołowiem w ręku.

Kiedyś wjechał na mnie samochód — mówi stary Krukowski, pocierając nogi. — Obie miałem połamane, ledwie wylazłem z tego. Chodzę wprawdzie, ale co za robota w gospodarstwie z takimi nogami, i pożytku tyle, co z kulawego bociana. W tym stanie podczas wojny nie bym nie działał. Ale pierwsze lata po wojnie były najgorsze. Ni to pokój, ni wojna. W dzień trzeba było pilnować pola, w nocy — domu i plonów. Przychodzili tacy do wsi w kożuchach i mówili, że są polskim wojskiem z lasu. Dawaj, chłopie, jeść, i to dobrze, bo jak nie, to dostaniesz przez leć kolba. Widziałem ja to „wojsko”, jak grabiło wsie, batożyło chłopów za to, że byli chłopami, żyli, uczyli się pracowali. Ile kur, ile baranów zjedli oni w okolicy? Człowiek od ust dzieciom odejmował, a im musiał dać. Na szczęście przyszedł czas, że z bandami skończono i ludzie mogli zacząć się pracą.



zapamiętaj na całe długie życie

Teść miał sporo łak, ale nie były one uprawiane. Zaczęłem je nawozić i tak, rok po roku, podwajała się ilość siana. Przybyło krowek, postawiłem zabudowania gospodarskie. Już myślałem, że chwycę Pana Boga za nogi, gdy spadły na mnie nieszczęścia. Syn utonął w Bugu i zmarła córka. Oddaliśmy się z żoną całkowicie wychowywaniu pozostałej dwójki: Krystyny i Janka.

Pod koniec lat pięćdziesiątych zrobiło się jakoś luźniej. Można było więcej kupować, rozbudowywać gospodarstwo. Skorzystałem i ja z tej szansy. To, co zarobiłem, przeznaczyłem na powiększenie gospodarstwa, na zakup narzędzi. Teraz nie ma nawet porównania. Władza powiada: produkuj i sprzedawaj jak najwięcej.

Powiedziałbyś lepiej, że nie ma materiałów budowlanych — wtrąca żona. — Cementu ani na lekarstwo, a my chcielibyśmy wykończyć dom, który kupiliśmy w sąsiedniej wsi przed rokiem. Drewniany domek na wysokich fundamentach i wygląda jak pałacyk. Śmieję się z męża, że na dożywotkę będzie jak znalazł. Na razie jednak mieszkają tam dzieci.

Zadaje pytanie, dla którego tu przyjechałem: — Jak czują się renciści, którzy oddali gospodarstwo za rentę?

— Od wieków ziemia przechodziła z ojca na syna. Czyż może być inaczej? To starodawne prawo polskie ustanowili jeszcze królowie. Rząd usankcjonował je tylko i za dbał, by ziemia nie leżała odłogiem. Dlatego przekazałem ziemię synowi ze spokojnym sercem. Skończył trzydzieści lat i miał przy mnie czas nauczyć się gospodarowania. Zresztą, od mojego wypadku faktycznie wszystkim zarządzał. Ojciec mu już niepotrzebny.

— Nie mów tak, tato — przerywa syn. — Ziemia moja, ale ty jesteś mi potrzebny. Wiedza książkowa, która nabyłem w szkole, nie zastąpi doświadczenia zdobywanego latami.

Niedziela. Krukowscy poszli w odwiedziny do sąsiadów. Został Jan i mogę z nim spokojnie porozmawiać.

— Jeden odchodzi, drugi zostaje, naturalna kolej losu — zaczynam naszą rozmowę. — Ziemię trzeba uprawiać, lecz rosną wymagania wobec nowych gospodarzy.

— Do pracy jestem w pełni przygotowany. Mam ukończony kurs specjalistyczny, zrobiłem prawo jazdy na ciągnik. Bez tego w gospodarstwie jak bez ręki. Trzymam wprawdzie konia, ale używam go tylko do drobnych robót; żeby nie zapomnieć, że jest się rolnikiem.

Ostatnio wiele się w gospodarstwie Krukowskich zmieniło. Doprrowadzili wodę do obór i ogrzewanie do domu. Zyskał na tym najbardziej stary dom, budowany ze skałek. Przybył jeszcze jeden traktor i kombajn ziemniaczany.

— Ten kombajn kosztował dwieście tysięcy — kalkuluje Jan. — To spory grosz, jednak zwróci mi się już za parę lat. Każdego roku wysadzam cztery hektary ziemniaków. Samemu trudno byłoby to zbierać przed mrozami, bo nikt z są-

chyba z pięć lat temu, a teraz mogę obejrzeć tylko czasami, niedziela po południu — wzywa Jan.

Z górki, na której rozciąga się domostwo Krukowskich, widać okolice. Do Radziszewa-Króli najbliżej, tylko 1,5 kilometra. Zima sypnie śniegiem, to i pole żniwa mało, żeby dobrnąć do pola do sklepu. Za to cicho i spokojnie. Wszelkie wydarzenia się, omijają okolicę. Spóźnione zety przynoszą wieści sprzed dni. Nowiny z sąsiednich wsi wędrują także tygodniami i opierają tylko przy okazji jarmarku.

Ostatnie pięć lat rozbudziło w co emocje radziszewian: reformy administracyjnej i ustawa o emeryturach dla rolników.

— To wprowadzenie rent, na chłopski rozum, jest rewolucją, powiada stary Krukowski, — razie tego się nie widzi, nie dąnia. Ale skutki wprowadzonych rządzeń będą widoczne już za kilka lat. Rolnik sprzedaje państwu co wyprodukował, i w zamian trzyma zabezpieczenie na starość: stanie się niezależny. Tu, w Radziszewie, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd, syn ojca — na cichu uczył się w komorze i chciał dać jeść. Władza musiała interweniować. Gdzie indziej, to ze słyszenia, wstawili ojca do obory i mieszkał tam razem bydłem. Okrutne bywało kiedyś niektórych dożywocie.

W Królach co drugi gospodarz czeka na rentę. Tak patrzy na siebie, bo połowa gospodarstwa nie ma następców. Czy aż tak dzieje zniechędzeni ziemi, że od niej uciekają? A jeszcze dwadzieścia temu byli gotowi za nią wszystko oddać. Co się stało? Nie potrafię samemu odpowiedzieć. Może dobrze, że niektórzy odchodzą.

siać nie chce się najać do roboty. Ręce ludzkie są w cenie. Pomocy maszyn nie można właściwie przeliczyć na złotówki. Bez nich prowadzenie dużego gospodarstwa byłoby niemożliwe. Samych ziemniaków sprzedałem przed rokiem 700 kwintali.

Gdy doda się do tego osiem ton odstawnego bydła rzeźnego, tonę trzody chlewnej, 300 kwintali buraków cukrowych oraz 120 litrów mleka dziennie — to uzyska się pełny obraz gospodarstwa Krukowskich. Jak sami wyliczyli, mogą ze swojego gospodarstwa wyżywić przez rok 60 osób.

Oprócz stojących budynków Jan widzi już nowe — chlewy, bukiarnię. Stawia na hodowlę bydła rzeźnego. Osiem hektarów łąki, dającej z roku na rok lepsze plony, stanowi dobrą podstawę do rozwijania tej opłacalnej specjalizacji. Może reszta gospodarstwa stanie się z czasem tylko dodatkiem?

— Tu, na kolonii — powiada Jan Krukowski — żyje się jak u Pana Boga za piecem. Tylko żeby zdrowie dopisywało i była ochota do roboty. A tej, jak dotychczas, nie brakuje. Dzień pracy trwa tu siedemnaście godzin. Najwcześniejszą pracę zaczynają kobiety, bo już na 5.30 krowy muszą być wydojone i nakarmione. Dzień kończy się i zaczyna tymi samymi czynnościami. Człowiek jest na dalszym planie; on może poczekać, a bydło nie.

— W kinie ostatni raz byłam

będzie można porobić większe gospodarstwa, samowystarczalni wi mnie natomiast postępowi młodych ludzi: przecież odejść roli tylko niewielu z nich może dobrze. Na pewno wygryją ci, którzy zostali; wartość chłopskiego jest większa z każdym rokiem. Wtarzając Jankowi: zapamiętaj całe długie życie, że chłop potrafi trzymać się ziemi. Kiedyś się niej dostatkio nasi dziadkowie, żemy tak żyć i my, gdy tylko chcemy.

Wieczór. Przy długim zasiada do kolacji z rodziną. Dziewięćdziesięć lat. Pradziadkowie nie wychodzą z swych pomieszczeń. Głowa pozostałych dziadków — Antona i Eugenii. Obok nich równoległa zajmują Jan z żoną i syna z mężem. Cztery rolnicy w jednym gospodarstwie. Ale dzi to nikomu; nie przeszkadza ten fakt, że Krystyna wraz z mężem pracują w Ciechanowie na roli.

— Chleba jest dosyć, a i żona same wypiekają — mówi Jan Krukowski.

Pokój wypełnia harmider, czyni najmłodsza latorośl — letnia Iwonka i o rok starsza Agatka. Rośnie czwarte pokolenie Krukowskich.

MIECZYSLAW WOLNY
Fot. GABOR LŐRINCZ

— Zboże jest za mokre, aby je wiązać w snopki, choć pozostawienie na garściach też nie stanowi najlepszej wyjścia — mówi Józef Piekarski z Gielczyna. — Wprawdzie sennie szybciej, ale gdy przyjdzie deszcz, zmoczy się bardziej. Na dzie widać każdy odcisk buta. Tu, na tej górze, owies był taki ładny, ale poszedł grad i wybił prawie wszystko. I warzywa wybił. Nie sprzątnęliśmy też siana. Mielśmy je za wałem; żadnego dostępu tam nie było. Zboże wyległo, ale jeszcze nie było. W Kołodzieju woda jest tak źle. W Kołodzieju woda podchodzi pod samą wieś. Idzie przez miedzę i pcha się na pola ze zbożem i ziemniakami. Siano porwało. Zagroza wszystkim siedemnastu gospodarzom. Zalewa już pola Mocarskiemu, Dąbrowskiemu. Kołodziej siedzi na jeszcze większych bagnach niż my.

Kilka dni słonecznej pogody nie wystarczyło wszystkim. Ci, którzy mają swoje pola niżej, czekają, aż ziemia wyschnie. Największe zniwa w Gielczynie zrobił Duchowski. Zasiał zboże na górze, jakby przewidział, jakie będzie lato. Ukosił snopowiązałką 120 dziesiątków. Mogłoby nawet zniwować kombajnem, ale w tym roku, gdy nie ma paszy, będą potrzebne i siana, i plewy.

Wielu rolników z Gielczyna ma własny sprzęt. Kosiarki konną posiadają m.in. Zygmunt Adamow, Stanisław Krawczyk i Tadeusz Duchowski. Są też dwa ciągniki: biało-ruski i ursus. Filia SKR-u mieści się 3,5 kilometra stąd — w Brzezinach.

— Kto zdał się na usługi SKR-u — mówi jeden z mieszkańców wsi — musi czekać w kolejce. Najpierw obsługują tych, którzy zapisali się na listę jeszcze zimą. Później brani są pod uwagę ci, którzy mają dobre układy z kierownikami i traktorystami. Teraz właściwie tak dużo chętnych nie ma, bo przeważnie idą w ruch kosiarki i kosy.

— W sklepie u nas — dodaje drugi — jest tylko piwa pod dostatkiem, przydałoby się kosi, sierpy i osel. Pieczywo przywożą dwa razy w tygodniu. Trzeba więc po chleb jeździć aż do Wizny. Do przystanku jest kilometrów, a i autobus nie zawsze przyjeżdża. Do Gminy kilometrów 40. Przez Wierciszewo byłoby bliżej, lecz rzeka wylała i trzeba jeździć.

Gielczynianie przyzwyczajeni są do liczenia na siebie. Pomocy z zewnątrz doznają wówczas, gdy już wszystko pływa. Niby system zabezpieczenia przed rzeką jest, ale o jego funkcjonowaniu mówi się tutaj z przekąsem. Pompom przytrafiają się awarie, zastawki nie wytrzymują naporu wody, rowy czyszczone są rzadko. Stwierdzenie: kąt gminy Trzcianna leży na bagnach — przylgnęło do tych terenów na zawsze i udaje się przekreślać szanse tutajszych rolników na solidne gospodarowanie, zwiększenie hodowli bydła, rozszerzenie kontraktacji, zwłaszcza ziemniaka, oraz pełnej mechanizacji gospodarstw. Samym mieszkańcom także brakuje społecznej inicjatywy, podobnie jak i młodemu sołtysowi wsi, Stanisławowi Gutowskiemu.

— W tym roku — twierdzi — zniwa zbiegła się z wykopkami. Kto będzie miał więcej rak do pracy, to przetrwa. A kto nie, to go zima zaskoczy.

Nie jest to wypowiedź przywódcy chłopskich zagród: ekonoma opie-

szalnych i opiekuna niezaradnych, a tacy są gielczynianie. Sąsiadka pomoc przydarza się tu tylko od wielkiego święta. Gdy nawieziono im piachu na drogę do Laskowca — nie było komu go rozgarnąć. Za pieniądze uczyniłby to każdy. Do Kołodzieja nie można dojechać, bo błoto po same ośki, więc siedzą w domach i mówią: „Do Kołodzieja nie można dojechać”. Rzeką zalała i oni „zalewają”. Trudno dociec, co właściwie popycha do przodu to gielczyńskie życie: wiatr, prąd rzeki? A może po prostu samo płynie.

Sześć kilometrów od Gielczyna leży wieś Laskowice. Ma wprawdzie lepsze połączenie ze światem, lecz jego mieszkańcy żyją podobnymi problemami. Jednym z nich jest opieszałość spółki wodnej w Grajewie z siedzibą w Zambrowie. Jej przedstawiciel, Daniel Kochański, dowiedziawszy się, że w wsi jest ktoś z zewnątrz, zupełnie wisił gdzieś na bagnach. Na próżno mieszkańcy Laskowca próbowali go odzyskać.

Mówią laskowiczanie: — Nikt się nami nie interesuje. Z gminy przyjeżdżają od wielkiego święta. Autobusy kursują według uznania kierowców. Sklepowy dojeżdża. Lekarza widzimy raz na miesiąc. O pogotowie trudno się dopytać. W sąsiednich wsiach, które należą do Zawad czy do Wizny, jest zupełnie inaczej.

Naczelnik codziennie dojeżdża do pracy z Moniek (12 kilometrów). Ma więc prawo do zmęczenia. Po informacji na temat przebiegu zniw w gminie odsyła mnie do dyrektora SKR-u. Gdy się chyba z faktem, że w samym Trzciannie wielu mieszkańców uważa go za człowieka z innej parafii.

Stosunek mieszkańców „trójwsi” do władz gminnych określił jeden z nich w sposób następujący: — Pannie, gdyby gmina leżała gdzieś przy głównej drodze, do której wpadłby od czasu do czasu ktoś z wyższych władz, to oni inaczej dbaliby o to wszystko. A tak komu się chce. Jest sezon urlopowy, a poprzednio lato, więc muszą tę odrobinę lata wykorzystać.

Na łakach woda sięga koniom do kolan. Skubią wystające ponad nią trawki. Na wyższych terenach, lecz również podmokłych, stoją kozy siana; czarne od deszczu. Widać, że ludzie robili wszystko, aby ocalić, co się dało, od zniszczenia. Chodzą w gumowych butach, przewracają je, suszą. Żyją zniwami i tym wszystkim, co ich zimą czeka.

— Tam jest inny świat, inny rząd — mówią o sąsiednich gminach.

Kierownik gminnej służby rolnej w Trzciannie otwiera skoroszyt: — Mamy do sprzątnięcia 2100 hektarów żyta, 1501 owa, 180 — jęczmienia i 94 hektary pszenicy. Rolnicy indywidualni posiadają 235 ciągników, 83 snopowiązałki, 53 kosiarki ze sprzętem zniwnym, jedną wistulę. Mogą w sumie obrobić 2780 hektarów. SKR może wiazałkami obsłużyć 120 hektarów, kombajnami 150. Właśnie wysłaliśmy z SKR-u do Gielczyna nowy super bizon z prasą do słomy.

Chyba na pokaz lub jako dowód, że jeszcze służba rolna nie zapomniała o tych wsiach.

Sytuację powodziową w kacie gminy Trzcianna kierownik uznaje za coś zupełnie normalnego. — Interweniowałem w sprawie naprawy pomp — mówi. — Teraz działa cała doba. Chcemy jeszcze uwinąć się z akcją poplonów. Rzepak już prawie sprzątnęliśmy. PZU oszacowuje stra-

ty w Zubolach i Nowej Wsi, bo zwracali się z interwencją. Grad poszedł i zniszczył im część upraw. Zachęcamy rolników do uprawy kapusty pastewnej, aby w ten sposób wyrównać straty pasz.

Dobrze, że kierownik gminnej służby rolnej myśli perspektywnie i poszukuje dróg wyrównania zwichniętej równowagi paszowej. Powinien jednak skupić się obecnie na samych zniwach, pojechać w ów najdalszy kąt gminy i fachową radą służyć na miejscu. Wszystkich trudności nie da się rozstrzygnąć telefonicznie, a mieszkańcy Gielczyna i sąsiednich wsi nie mają obecnie czasu przyjeżdżać do gminy ze swoimi kłopotami. Mówią: — Skosić nie sztuka, ale jak sobie poradzić z wysuszeniem ziarna? Jest suszarnia w Knyszynie, lecz za dużo żre prądu, nie mieści się w limicie i płaci wysokie kary.

Obchodzimy magazyn zbożowy. Robi wrażenie. Łączna powierzchnia: 1200 metrów kwadratowych. Na poszczególne gatunki zbóż przeznaczono oddzielne zagrody. Na półkach nowiutkie worki, przywiezione prosto z fabryki. Papier falisty do wykładania przyczep stoi starannie zwinięty w rulon. Tylko brzo tranport, napełniać i zwozić. Lecz do zwózki droga daleka.

Największy w gminie SKR ma problemy ze sprzętem. Zdążyli się już zepsuć dwie snopowiązałki. Z naprawą nie jest wcale wesoło. Mniejsze usterki usuwane są na miejscu, z większymi trzeba się wpraszać do POM-u w Mońkach, a ten ma swego sprzętu dosyć. Najczęściej odmawia. Do Łomży ponad sześćdziesiąt kilometrów. Strata paliwa i czasu. Nie ma lekkiego życia dyrektora SKR-u, Władysława Karwowskiego, choć w przygotowanie sprzętu włożył wszystkie siły. Kombajny stoją, a rolnicy upominają się o snopowiązałki. Przydałoby się ich co najmniej jeszcze ze dwadzieścia. Dzielę je, jak może najlepiej: według kolejności z listy, według niezdolności do pracy. Jakiej metody by nie przyjął, i tak wszystkich nie obdzeli. Więc kolejki przed bramą SKR-u ustawiają się już od piątej rano. Piotr Puchalski przybywa do siedziby dyrektora SKR-u już trzeci raz. Maszyna miała iść do Gugien, a poszła do Nowej Wsi. Dyrektor nie zawsze jest w stanie odpowiedzieć na stawiane zarzuty, choć wie, że gdy się obiecuje, słowa powinno się dotrzymać. Byłoby według listy, ale właśnie dwie snopowiązałki trzeba już naprawiać.

— Maszyny, które cieszą się największą popularnością, są w dużym stopniu już zużyte; wyprodukowano je w 1974 lub 1975 roku — wyjaśnia dyrektor. Nic więc dziwnego, że się psują. Jeśli pogoda się utrzyma dłużej, to po tygodniu, półtora, wejdą do akcji kombajny.

Dyrektora SKR-u cechuje wyjątkowy optymizm, naczelnika — stoicki spokój, kierownika gminnej służby rolnej — liczenie na statystykę. Rolników opanowuje bezradność i przygnębienie. Tempo prac jest stanowczo za powolne, decyzje władz gminnych nie zawsze trafne, słabe jest przygotowanie do zniw zarówno ze strony gminy, jak i mieszkańców wsi. Brakuje elementarnego sprzętu zniwnego w miejscowych punktach sprzedaży. O pozytywnej akcji „Każdy kłosa na wagę złota” tu ani nie słychać. Rolnicy z gminy Trzcianna myślą o wszystkim, lecz najmniej o zniwach. Urzędnicy zaś myślą o tym, aby wręczenie sztandaru rodzimej jednostce Ochotniczej Straży Pożarnej wypadło z pompą. A opadająca woda kłopotów nie zabierze.

STANISŁAW ZIELIŃSKI



nikt się nami nie interesuje

Franciszek Mocarski i Mieczysław Mocarski, rolnicy ze wsi Laskowice (gmina Trzcianna): — Chyba Bóg się na nas uwziął; nie dość, że siedzimy tu jak na końcu świata, to jeszcze nikt się nami nie zainteresuje. Nawet teraz, kiedy pozalewało nam łąki i pola, tak że niektórzy nie mogą zebrać nawet garści siana. Od wielu dni nie możemy się dopytać eksperta z PZU. Owszem, ktoś z Trzciannego wpadł na chwilę i orzekł, że dopóki woda nie opadnie, to PZU nie przystąpi do szacowania naszych strat. A przecież zanim woda opadnie, wszystko przegnije i pozarasta. Kto wtedy nam uwierzy, że nie zebrałszy siana? Już teraz mówią ze służby rolnej, że nie zebrałszy tylko 30 proc. A przecież my wiemy, ile mamy siana. Tylko nieliczni zwieźli po furce czy dwie. Większość nie. Gdzie indziej, np. w sąsiedniej gminie, PZU wyceniło już dawno straty rolników i nawet niektórzy otrzymali pieniądze. Kupują za nie mieszanke, żeby ratować bydło. Nam przyjdzie wszystko zdać za bezcen na spód, bo czym te zwierzęta wykarmić? Prawie wszyscy szysujemy się do likwidacji bydła. Już teraz punkty skupu nie są w stanie przyjąć nawet jednej trzeciej dostarczonych zwierząt. Wybierają co ładniejsze sztuki. Reszta wraca ponownie do obór, aby jeszcze bardziej zmarnieć.

— Kiedyś, przed melioracją, dzikiej trawie nie szkodziło przebywanie jakiś czas pod wodą. Szlachetna trawa natomiast jest nieodporną. Zbudowano urządzenia nawadniające, nie pomyślano zaś o sprawnym odprowadzaniu wody. Niech pan spojrzysz na te rowy: czy mogą one — takie pozarastane, prawie niewidoczne — odprowadzić te olbrzymie nadwyżki wody? (lg)

nie jest tak źle

Pracownicy służby rolnej gminy Trzcianna: — Mamy trochę problemów na niektórych terenach przyległych do rzek. We wsiach: Gielczyn, Zajki i Laskowice wszystkie łąki zostały zalane. Wielu rolnikom nie udało się zwieść tego, co skosili. Problem ten powoli maleje, zwłaszcza od czasu, kiedy na całą dobę przedłużyliśmy pracę pompowni; do niedawna stacja pomp była czynna tylko na jedną zmianę.

— Sytuację pogorszył znacznie niesprawny kanał odwadniający w Wysowatych. Niestety, koparka, która wysłała do jego pogłębiania, ugrzęzła po drodze na jakimś zabagnionym terenie. Tam, gdzie konserwacja urządzeń melioracyjnych zrobiona jest należycie, zbiory wyglądają lepiej.

— Nie wszędzie jednak mogliśmy zorganizować ludzi do pracy w spółkach wodnych. Jeśli uda się zebrać wiosną i latem paru chętnych, a później, na czas zimy, ich się zwolni, to następnego roku wszystkie kłopoty zacinają się od nowa.

— Ciągła improwizacja i łatanie dziur przypadkowymi ludźmi nie ułatwiają nam pracy. Działamy często doraźnie i tylko w najbardziej alarmujących miejscach. A przecież w przypadku całych kompleksów użytków zielonych — jak chyba nigdzie indziej — potrzebne jest działanie zespolone, obejmujące cały teren, bowiem użytki zielone są jednym wielkim naczyniem połączonym. (lg)



woda kłopotów nie zabierze

między ludźmi żył

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

DANUTA SOBOLEWSKA

następnej wiosny, to sprawę rozwiąże. Chyba już myślał, żeby sobie to zrobić. Nie był schorowany. Ze był niedołężny, że chodził przy lasce, to wiadomo. Jak każdy stary człowiek. On myślał o tym, żeby sobie skrócić życie. — Myślał o tym. Nie jest prawdą, że tam mu dokuczali na siłę. Nie.

— Ludzie różnie gadają. Jeden tak, drugi tak. Jak tam mogło być, nie wiem. Stary człowiek to to samo, co i mały. W Piątkowinie młody chłop (miał chyba czterdzieści siedem lat) też się powiesił. Poszedł za stodołę, założył pętlę. Przyczynę taki sobie sam wymyśla. Jak sobie postanowi, że on tu musi... Innego sensu nie ma. Ten miał chyba osiemdziesiąt siedem lat. Jeden w takich latach ma pełne zmysły, a drugiemu może zaczyna się co psuć?

— Ja słyszałem, że oni coś mieli dawnego, jakieś zatargi. Stary Gleba procesował się z Brodzikiem i ostatnią krowę sprzedał na to procesowanie. Zle zrobił, co się odłączył od nich. Oni jeść by mu dali, tak jak do ostatka dawali. A on na oczy nie widział i się odłączył. Brodzik starego nie mógł źle traktować. Przecież on go wziął na syna. Jak we wsi nikt o motorze jeszcze nie słyszał, to Gleba już mu motor kupił.

— We wtorek rano to było. Przyjechał o szóstej sasiad, mówi: „Gleba się powiesił”. Choroba, tak mnie zdziwiło. Co też się stało? W piątek jeszcze całkiem zdrowy. Tu, obok tej chałupy, żem się z nim spotkał: „Gdzie, Gleba, idziecie?”

„No, idę tam do was, byś mnie ogołił, włosy obciął”. To ja mu: „Już się nie będę wracał. Idźcie, posiedźcie”. Dali obiad. Poczekał. Na nie się nie skarżył. Ale kiedyś do prezydium gadał, do tego babska, że pojedzie do Białegostoku, się poskarży, albo się powiesi, jak mu renty nie dadzą.

— Nieraz, jak do nas szedł, to na tę dróżkę nie trafił, tylko dalej. Nie widział. To jak on tam do tej łaty trafił? Takiego obręba miał w kieszeni, potem drugiego znaleźli. Zawiązał na supły do łaty i na szyję. Kolanami do ziemi dostawał. I się powiesił.

— Po tej drugiej kłótni Brodziki dali mu małą kuchenkę. Nawet miski do mycia nie miał. Nawet siennika, tylko snopek słomy. Co mogłam, to mu przyniosłam z Piątkowiny od jego kuzynki, Pikorowej. Sama nie przyjeżdżała, bo raz Brodzik z kijem wyskoczył. Groził, że pobije: „Dziadem będziesz się opiekować?” Ze wsi też nie chodzili. Na początku jedna z drugą sasiadka mleka i chleba przyniosła. Ale kiedy pogonili, więcej wyzisk słuchać nie chciały. Czasem, jak nikogo nie było, stara Brodzikowa zagadala. Bo młoda chyba jeszcze gorsza niż syn. Kiedyś Gleba był z niego nawet zadowolony. Lepiej żyli. Dopiero potem, ta kobieta... Jak się zaprawowali, to do końca. Z Opieki Społecznej się nim zajmowała, dlatego widziałam wszystko, a Brodzik nie miał prawa źle do mnie powiedzieć. Gleba znał Brodzika od małego. Matka go na ręku przyniosła. Stary pomocy w

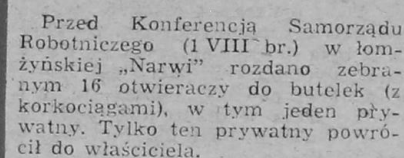
domu potrzebował, to ja wzięłam. Cicha była i jest cicha. Robota. Zona Gleby też spokojna była. Tyko on to trochę taki poprzeczny. Każdemu coś powiedział naprzeciw. Jak chleb mu przyniosłam, to jeszcze go nie zobaczył, a już mówi: „Pewnie mi starego przyniosłaś”. Początku głupio mi było na takie gadanie, ale potem przyzwyczaiłam się i nie zwracałam uwagi. Słuchałam go było. Troszeczkę co na oko widział. Jak słońce było, to mówi: „Co dzisiaj tak ciemno, mgła?”

— Chyba będzie ze trzy lata, ja Gleba mieszkał oddzielnie. Brodziki niby płacił mu te siedemset złotych, ale to są groszowe sprawy. A poza tym należy się jakiś szanunek dla starego człowieka. Pieniądze to nie wszystko, ale bez niego człowiek na wsi czuje się niepotrzebny. Bez kogoś bliskiego umiera na samotność. Póki jeszcze był sasiad Suskowski, stary miał chęć z kim porozmawiać. Jak się tydzień przed powieszeniem wywodził do Mrągowa, Gleba skapotał zupełnie, mówił, że teraz życia od niego nie ma już w ogóle życia. O przede wszystkim potrzebował ludzkiej życzliwości, dobrego słowa. Sam widziałem, jak pomagał Brodzikowi w obojętności, chociaż go już źle traktowali. Ludzie mówili, że kiedyś przy młócie coś się Brodzikowi stało. Gleba przyjechał, płakał, lamentował, gdy go brał do szpitala. O własnego syna tak nie zabiegał. Jak zachodziłem do niego, to widziałem, że nawet zajmował się dziećmi. Kiedyś dzieci lubiły, ale potem ojciec i matka



— Panie doktorze, czy jest pan pewien, że to było samobójstwo?
— Tak. Stwierdziłszy to z milicją. Na pewno powieszenie, bo miał w kieszeni kilka sznurków. Od dawna zresztą wspominał, że się powiesi.

*
— Co go do tego skłoniło? Moim zdaniem, to, że od wielu miesięcy, a nawet lat, chciał popełnić samobójstwo; niby z tej przyczyny, że był samotny. Ten jego wychowanek z matką wiele lat u niego pracował. Kiedy zaczęli domagać się rekompensaty, on, jak ten Slimak, trzymał się ziemi do końca. Później wynikła sprawa sądowa. Werdykt był taki, że wartość zapłaty przekroczyłaby wartość majątku. Wtedy się trochę utemperował, pogodził z losem. Dażył do wygrania sprawy, bo go ludzie podsycali; postronni i ktoś z rodziny. Miał jakiegoś ziomka, lekarza w Kolnie. Ale w końcu się zgodził, żeby go ci ludzie dochowali. Moim zdaniem, nie jest prawdą, że nie chcieli go utrzymać. To był człowiek stary, który nie dał sobie przetłumaczyć. Kurczowo trzymał się tych swoich chłopskich założeń. Niekiedy może nawet nie chciał, gdy mu coś dawali. Wolal od sąsiada, a od nich nie. Byłem tam kilka razy, rozmawiałem z nim. On tylko mówił, że jest opuszczony, ale jak doczeka



Przyniesiono nam niedawno dzie-
sięć paczek herbaty „Madras” z
plesnia, zakupionych w łomżyńskich
„Delikatesach”. Owszem, herbata
porożnięta równo i sprawiedliwie
— z obu stron. Przed degustacją
jakoś się obroniliśmy. Natomiast
stoisko garmazeryjne w tychże „De-
likatesach” ma gablotę chłodziarko-
wa, którą by można nazwać rogień-
obfitości, ale nawet w nim nie by-
wało takiego dóbr pomieszanja. Ry-
by smażone przewijają się tam
wśród pyz, a rolmopsy — wśród
mrożonek warzywnych.

Trzy tygodnie temu dwaj rabusie napadli wieczorem na dziewczynę przy ulicy Browarnej w Łomży. Mieszkający przy tej ulicy rodzice panierek wierzą, że nie doszłoby do incydentu, gdyby palili się tam wówczas wszystkie (dwie) latarnie.

*

Specjalnością baru „Popularnego” w Łomży jest kisiel. Dominuje on na ladzie chłodniczej, okleja naczynia podawane do napojów. O pieczywo, masło i napoje trzeba się za każdym razem upominać. Ale wśród personelu nie widać z tego powodu żadnego zdenerwowania; spieszy się powoli, jakby w myśl zasady: później otrzymasz — dłużej będziesz się cieszył z perspektywy spożycia posiłku.

Mieszkańcom Szczodrochów (gmina Kołaki Kościelne) bardzo pilno do wybudowania sklepu we wsi, a główny wykonawca (GS) robi wszystko, aby ich zapal nie wytracił budowy z geesowskiego — złotwigo — tempa.

Szef Łomżyńskich Związków Zawodowych — na jednym ze spotkań z władzami województwa — poprosił o adres właściwej wdowy, której cały aparat Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych chciałby pomóc w żniwach.

Ordynator Szpitala w Zambrowie oświadczył redakcji, iż pracując tam pani doktor Marzec nie można w żadnym przypadku nazwać „Iwici salonową” i że jest wzorem pracownika. Trudno. Na marginesie dodamy tylko że twórca pseudonimu „Marzec” pisał o zupełnie innej parafii.

Dyrekcja Zespołu Opieki Zdrowotnej w Zambrowie kilkakrotnie w ciągu roku ustala termin oddania do użytku ośrodka zdrowia w Kołakach Kościelnych. Byłoby to normalne, gdyby dotychczas przygotowane pod ten ośrodek chociażby fundamenty.

*

Podopieczni Domu Dziecka w Zambrowie już od wczesnego dzieciństwa wychowywani są w duchu własnego (tj. praktykowanego) poszanowania pracy. Już od jesieni 1976 r. ów Dom znajduje się w renowacji, obecnie wstrzymanym — a skutek braku fachowców od instalacji centralnego ogrzewania. Zatrzerzeni w taką robotę — wychowankowie wyrosną na równie szających się specjalistów.

Codziennie po południu na skraj siedla Południe w Łomży zajeżdża pychacz, operator włącza silnik, o czym udaje się w nie znany kierunek, pozostawiając warczący ojazd na długie godziny. Wygląda na to, że przyznano mu limit nadciśńbówek na przewarczenie.

— Tyle się płaci — powiedział
ziennikarzowi kierowca taksówki
r 0878 LOM, nie konsultujący ceny
20 złotych) za przejazd (od „Mazo-
wieckiej” do Sadowej 10) z liczni-
kiem, bowiem go w ogóle nie włą-
zył.

nie widziałem. Dopiero jak wraca-
łem, patrzeć: krzesło wedle chlewika.
Gleba stał pochylony, czapkę
miał założoną. Krzyknąłem do żony:
„Zobacz, co się stało” A ona: „O
jej Boga, dziadek się powiesił!”
Zimny już był, no to nie reagowa-
łem na to. Tylko zadzwoniłem do
Turośli na posterunek: „Zaraz przy-
jadą”. Ale nie ma i nie ma. No to
na motor i pojechałem do Turośli.
Dopiero do komendanta się dosta-
łem. Ten jeszcze lekarza ściągnął.
Sprawdzili wszystko, opisali i poje-
chali.

Ludzie mogą różne rzeczy gadać. Tu wszyscy się znają, to każdy coś na drugiego powie. Ja się tym nie przejmuję, bo nie mam nic wspólnego z tym... dziadkiem. Ja mu nie dokuczałem. Nie wyganiałem. To na niego coś naszło: „Ja się odłączę, ja się odłączę”. Więc pomogliśmy mu z Puchalskim Stanisławem. Robił sobie, co chciał. Tu nikt nie chodził, nie zaglądał do niego. Tylko tych pieniędzy ciągle mu było za mało. A po śmierci znaleźli, że mu zostało 1750 i nie więcej, tylko tych sznurków. Chyba na zapas naszykował. Pieniądze zawsze miał. Jak zachorował na wosnę, tom go obmywał i golił. Bo lekarz i ksiądz mieli przyjść. I wtedy zobaczył, że nosił te oszczędności w skórzanym worku na szyi. A jak zmarł, to ich już nie było. W łóżku leżały. Tylko 1750 złotych, a tydzień wcześniej miał ponad trzy tysiące. Nie wiem, co on z nimi mógł zrobić. Przecież na życie wydawał niewiele, pięćdziesiąt złotych miesięcznie to góra. Jak mu cztery lata płaciłem po siedemset, to mógł se oszczędzić. Ale on ciągle narzekał, że mało. Ech, z nim to nigdy nie można było zgadnąć, co wymyśli. Dobrze miał. Nie nudził się. Przyszli do nas, posiedział. Poszedł do sąsiadów, pogadał. Ale sam nie wiedział, czego chciał. Parę dni był z nami przyjacieli, to znów się zalił, że mu nie. Po co chciał się odłączyć? Jak tydzień wcześniej ten stary Susowski wyjechał, powiedział, że żyć mu się już nie chce, bo całkiem sam się ostał. I zaraz się powiesił. Po już taka rodzina. Oni wszyscy na starość dziwaczeli. Marzenie jakie. Taka jakaś pokusa go ogaręła na to wieszanie. Kusido go, kusido, i się powiesił. Nie kłócił się z mną, bo za co. Pieniądze mu przysyłałem. Opiekunka była. Nie była zamknięty w klatce. Między ludźmi żył.

— Na wsi niektórzy mówią, że Gleba nie mógłby popełnić samobójstwa. Czy wyklucza pan zabójstwo, panie doktorze?

— Żadnych oznak walki czy pobicia nie stwierdziłem.

— Trudno powiedzieć. Dokładnie nie badaliśmy.

— Obce mnie powiadomili *

— Oboje mnie powiadomili o śmierci wujka. Brodziki zabronili mi go odwiedzać. Przecież jak został sam, to trzeba było mu dać ta-
lerz, łyżkę, miskę i mydło, no
wszystkie te rzeczy. Ale jak którejs
niedzieli my tam pojechali, to nas
Brodzik pogonił. Krzyczał, że szta-
chet nie pożaluje. A ta jego żona:
„Po co ty staremu te lachy dajesz?
Jak on zdechnie, to ja wszystko
wyrzucę”. Ja mam nerwice serca.
Choruję piętnaście lat. Nie chcę się
denerwować. Boję się tych bójk
tych kłótni. Ale pomóc wujkowi
trzeba było. U Suskowskiego mi się
spotykali albo przez te dziewczyny
z Opieki coś tam podawali. Cukier,
chleb i do chleba. Wodę święconą i
kropidło, żeby mógł pokropić, jak
burza przyjdzie.

Dzieci nie miał wcale, to przys-
garnął tego Sylwestra z matką, jak
jeszcze w kolebce był. Myślał go
uchować na syna. Uchował go...
Stara Brodzikowa, co tam jeszcze
żyje, jedna co go trochę ratowała.
Jak tamci nie widzieli, to mu dała
mleka, placaka. Czasem koszulę zdą-
żyła uprać.

Mój brat go nie buntował. Chciał pomóc, jak zobaczył, że mu zaczęli brzdziaki dokuczać. Był lekarzem w Kolinie, to znał te wszystkie obrzędy, i arządził, że albo mają dać opiekie, albo się z gospodarki. Jeszcze nie był niedołężny, a już zaczęli nim poniewierać. Wujek dogadał się z jakim Brzostkiem, żeby mu gospodarkę obrabiał. Brzdziaki wystraszyli się, że ten dziadek tak się ogniewał i że może trzeba będzie a odyskane ziemie za robotą iść. Jego matka sama kiedyś mi opowiadała, jak my szły do kościoła, a ten Brzdziak myślał, jak tu poidę

starego. Kiedy wujek z Brzostkiem zjechał po żyto, to on, podpiyty, z płaczem podszedł, ucałował wujka, i ten mu uwierzył, że to taka wielka żalost. Darował wszystko. Nawet tego Brzostka wypędził, choć to i nieładnie. Jak tylko wszystko z pola zebrali, pomłócili, na powrót to samo: „Ślepy staruch, konalbyś szybciej, cholero”. Żeby tylko wyżył; i bili w złości. Nie mogli widocznie doczekać, aż umrze. Prawie dziewięćdziesiąt lat, a zdrowy był. Nigdy nie chorował. Mówili: „Kto go przeżyje?” Nie chcieli, żeby miał od ludzi pomoc. A on potrzebował najbardziej dobrego słowa. Oni o tym wiedzili i umieli go podejść. Jak Dawideczyk oddał wujkowi dług, osiem tysięcy (przed świętym Rochem, z pięć lat będzie), to oni zaraz wzięli go na odpust. Przodem nigdy tego nie robili. Fajnie furmanką pojechali. Wujek był zadowolony, że wszystko się odmieńniło. Rano wstał, poszedł do ubikacji, worek z pieniędzmi zostawił pod poduszką. Wraca, już nie ma. Z gołą głową przyszedł do nas, zapłakany. Jak się oddzielił, to był więcej zadowolony. Zjadł lepiej. Bo jak był z nimi, to tylko ten chleb i kapusta. Co sami nie zdolali zjeść, to jemu dali. Na wesele mojego syna czekał. Ostatni raz był u nas przed Świętkami. Łachacz go przyniósł na dwa dni. Prosił karfofli. Sąsiedzi mówili mu: „Bierzcie, ale chcecie, ale wam nie zawieziemy”. Sam worka by nie uniósł, to Dąbrowski mu powiedział, żeby noś po koszyku. Ale drogi dobrze nie widział i się wysypał razem z tymi karfoflami. Syn mu wreszcie zawiózł, bo ich w domu nie było. Na drugi dzień była sódoma. Darcie kropnie zrobili wujkowi za te rzeczy. Oni mu wszystko przetrząsali, bo wujek nie zamykał na klucz. Nie mógł do zamka trafić. Ludzie tak się bójali mu pomóc. Kiedyś zima amarał na drodze. Szablak przyniósł go tu całego żywego. Zszedł do sklepu po bochenek chleba. Osiem kilometrów z jednej strony, wsi na drugą.

Tej nocy przed śmiercią podobno pili. Cała noc pili. Stara Brodzikowa mówiła jednemu sąsiadowi, że on w nocy krzyczał lekarza. Niemieli. Jak mi tam przyjechali, to aż trudno powierzyć: tam wszystko było do pogrzebu naszykowane. Nawet ciasto. Cała rodzina jego i jej się zjechała. Przyjęli nas z taką złością, że chcemy wujka zobaczyć. W jego izbie już nic nie było. Wysprzątane. On leżał na podłodze, przykryty szmatami; to je zrzuciłam. Oglądałam go. Miał straszny brzuch. Czego on mógł się tak najeść? Ręce miał jeszcze ubrudzone w piasku. Boso był, nogi miał eżyściutkie. Na szyi nic, jak mi Bóg na niebie, żadnego sińca. Tylko ten brzuch. Wujek nigdy nie chorował. Dzwonili my do innego lekarza, do Kolna, żeby sekcję zrobił. Ale nie przyjechał.

Pytałam ich: „Dlaczego żęście go nie odcieśli, nie próbowali udzielić pomocy? Może on jeszcze żył? Toż nie był zaminowany. Gdziekolwiek się spotyka człowieka w nieszczęściu, to się udziela pomocy”. Oni mówili, że Brodzik nie kazał go dotykać, aż milicja przyjedzie. Przecież za to nie karają, że się chce ratować człowieka.

Nie wierzę, żeby wujek sam sobie to zrobił. Jak mógłby się tak zawiesić? Chleba i kubka po stole szukał ręką, a w nocy tak by sobie przyrzadził? Na tym krześle leżało trochę gnoju, że niby jak wchodził, to je ubrudził. I czapkę mu na głowie nałożyli. Z łaski ciężko mu było chodzić i na krzesło by się wdrapał? Nie wierzę, nie wierzę, żeby tam taka śmierć była! Czemu ani milicja, ani lekarz nie nie pytali opiekunki, Lachaczowej? Jak się czuł, czy się na coś skarżył. Ona z nim najczęściej była, i ani słowa. To nie jest w porządku. Pytali Małż, Puchalskiego, a to Brodzi-kowe szwagry. No, ale jak się razem piją to wiadomo...

Teraz to oni na wujka wszystko mogą mówić. Tym, co go znali nie mówią, że był pomyłony. Tylko że nikt Brodzikowi się nie sprzeżiwi. On należy do rozmaitych wiaźków, to się go boja. Toż on kolega ze wszystkimi. A ludzie... Stali te sasiady i nie nie zrobili. Tylko mówili jeden do drugiego: "Patrzej, jak się ładnie powiesił!"

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI
FOT. GABOR LÖRINCZY



ZOSTAĆ SOBĄ

ROZDZIAŁ

— Daj mu ochłonąć. Wróci z Francji, może wszystko będzie inaczej. Twój ojciec jest mądrym i wyrozumiałym człowiekiem pomoże ci.

Nie była w łatwej sytuacji. Nie miała nawet bliskich przyjaciół. Zarozumiała i pewna siebie, teraz została sama w osaczeniu. Jedy- nym ratunkiem był dla niej wy- jazd do Warszawy.

Oburzyła się: — Chcesz mnie się pozbyć. Wiem o tym. A ja będę chodzić z brzuchem jak ta druna.

— Nikt cię w Warszawie nie zna.

— Idź sobie. Przestań mnie mę- czyć.

Przed świętami Bożego Naro- dzenia Adam udał się do Warsza- wy, aby zobaczyć się z Bonieckim, Skrzyńskim i Górskim. Napięcie w kraju wzrastało i liczone się z moż- liwością przewrotu. Boniecki zapro- ponował wydanie jednodniówki szkolnej w okolicach 1 maja i z tej okazji młodzi poeci, Władysław Broniewski i Stanisław Ryszard Dobrowolski, mogliby przyjechać na młodzieżową akademię. „Bro- niewski mówił mi, że zadedykuje wam wiersz, który możecie wydru- kować w jednodniówce”.

Pomysł nie był najgorszy. Adam propozycję przyjął. Przed wyjazdem zaszedł do Ireny, która mieszkała u ciotki. Zmieniła się. Pozostała drobna, nawet szczupła, deformował ją tylko brzuch. Była wzruszona pamięcią. Nie wyglądała na przy- gnębioną.

— Pierwsze przerażenie, Adam, ustępuje rezygnacji i pogodzeniu się z losem. Zamierzam na wiosnę zdawać jako ekstern. Oczywiście, w Warszawie. Są takie kursy ma- turalne. Nie wiem, co zrobię z dzieckiem, ale nie mogę go zos- tawić. Może Marcin, gdy się zobaczy, namyśli się. Na razie nie daje zna- ku życia. — Nie wydaje ci się śmieszne, że będę matką?

Nie odpowiedział. Czuł się winny i zakłopotany. Mimo ich przygody sprzed roku miał uczucie, że mię- dzy nimi niczego nie było. Nie spotkał się z Marią Łącką. Nie wie- wiedział nawet, czy ciągle miała narzeczonego, czy już wyszła za mąż. Podobno zaczęła wykłady na Uniwersytecie.

Wróciwszy do Łomży postanowili z Nidzińskim i Stępińskim zakre- ścić koło jednodniówki. Od pierwsze- go lutego zaangażowali się w pra- cę Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. niewiele ryzykowali. Ogólny stan napięcia na tyle roz- luznił dyscyplinę szkolną, że nie można było oczekiwać poważniej- szych przykrości. Nawet ojciec Ada- ma pogodził się z aktywnością syna. Sporo czasu zajmowało mu daw- nie korepetycji. Nie chciał rezygno- wać z własnych pieniędzy. Za po- średnictwem Janki Orłowskiej do- stał dobrze płatną lekcję u jej ku- zynki, rozpieszczonej i kapryśnej piętnastoletniej Reginy. Była to chorowita dziewczynka, o ładnej twarzy, lecz z niedowładem nóg po heine-medinie. Zdolna, pełna niepokojów, nie chodziła do szkoły ze względu na kalectwo i musiała przejść z Adamem cały kurs piątej klasy, gdyż straciła rok przez sanato- rium. Cztery godziny tygodniowo nie należały do łatwych, lecz pozwalały Adamowi zrezygnować z innych lekcji. Regina świadomie przeciągała zajęcia. Widocznie nu- dziła się i obecność przystojnego chłopca sprawiała jej przyjemność. Ubierała się wyszukanie, prowadzi- ła długie i nużące konwersacje. Jej ładna buzia, pełna min i uśmie- chów, nabierała rumieńców. Kiedyś kazała się posadzić przy fortepianie i wówczas okazało się, że wcale przyjemnie grywa i śpiewa cygań- skie romanse. Pasjonowała się Wer- tyńskim, stawała się wówczas nie do poznania. Pochwalona, zarumie- niła się i pocałowała Adama w rękę. Odruchowo pogłaskał ją po głowę. Była wyraźnie uszczęśliwio- na i opowiadała mu o dziwnych snach, w których przychodzą do niej koty i liżą ją po całym ciele, a ona boi się, że nagle stanie się myszą i one ją zjedzą. Takie roz- mowy nie wróżyły nic dobrego; do- piero interwencja matki przerywa- ła te dziwne seanse.

Ani się spostrzegł, kiedy minęła zima, łagodna i bez wyrazu. Dwa razy spadł śnieg, lecz zaraz stop- niął. Mokre drzewa czerniały pod siąpiącym deszczem, błoto stało się dokuczliwe.

Mnożyły się delegacje bezrobo- tnych. Towarzystwo charytatywne przy Kapitulce Biskupskiej wydawa- ło obiady, pospolicie nazywane zupkami. Do większych starć nie dochodziło, zwłaszcza że pracowała nie tylko fabryka narzędzi rolni- czych, lecz i tartaki. Orłowski w kontakcie z Czarneckim robił wszy- stko, by nie doprowadzić do jaw- nych konfliktów.

Młodzież z kółka kłębiła się koło jednodniówki. Pieniądze zebrali między sobą. Hryniewicz załatwił im sprawy papieru i drukarni. Bro- niewski przysłał artykuł. Nidziński reportaż ze szkoły. Stępiński — z życia kolejarzy węzła łomżyńskiego. Interesujący materiał dostarczył im również Jaroszkiewicz. Janka Orłowska podrzuciła własne wiersze, Zocha opisała wieś kurpiow- ska, lecz ubogo i niezdeterminowanie. Numer był gotowy w połowie kwietnia, lecz miał się ukazać z da- tą pierwszego maja. Dzięki inter- wencji doktora Czarneckiego u- niknęli kłopotów z cenzurą.

Na zebraniu u Hryniewicza po- stanowili wziąć udział w pochodzie pierwszomajowym. Prezentowali stosunkowo liczny zastęp młodzieży, gdyż w ciągu ostatnich miesięcy powstało analogiczne koło w gim- nazjum żeńskim, w żydowskim gimnazjum Goldusta, a nawet w biskupim liceum Unitas, co było zasługą przyjaciela Władka Tomali, który po strajku szkolnym stał się ich kompanem. Dziewczęta mało- wały w Domu Ludowym transpa- renty, chłopcy przygotowali plan akcji, łącznie z lekcjami śpiewu pieśni rewolucyjnych. Dyrektor O- bida zachowywał się z rezerwą, jakby o niczym nie wiedział. Jed- nie łacinnik próbował na lekcji wy- jaśniać racje rządu Witosa, wska- zując na dyktatorskie zapędy Pił- sudskego, który steruje swoimi wtyczkami w stronnictwach lewi- cowych i radykalno-chłopskich. Puszczał mimo uszu podobne wy- wody, zajęci własną pracą. Wicek Marcinkowski ułatwił im kontakt z miejscowym „Strzelcem”, który szykował się do opanowania ko- szar 33 pułku garnizonu łomżyń- skiego. W gimnazjum żeńskim co- raz większy rej wodziła Janka Or- łowska, wypierając swoim tupetem rzeczową, lecz mniej bystrą Zochę. Jedynie Jolka Gerwinówna nie da- ła się zawojuować, przeciwstawiając się Jance w każdej niemal sprawie.

Na kilka dni przed pierwszym maja Adam zawiadomił Reginę, że nie przyjdzie na lekcję. Zaczęła be- czeć i histeryzować, musiał ustąpić.

Dzień był ładny, słoneczny, wiosna zaglądała do okien. Regina, ubrana w letnią sukienkę, siedziała na sofce i przywitała Adama radośnymi o- krzykami. Ogromnie żałowała, że nie może brać udziału w pochodzie, lecz liczyła na to, że wyjedzie w lecie do Czeskich Piszczan, które podobno robią cuda. W pewnej chwili położy- ła głowę na piersi Adama i zażąda- ła, by ją pocałował. Zachowała się tak agresywnie, że Adam mimo woli przypomniał jej o obecności matki w sąsiednim pokoju.

— Wyszedł do sąsiadki. Jesteśmy sami. Tak długo czekałam na tę chwilę. Nie jestem takie dziecko, jak sądzisz, i stale myślę o tobie.

— A koty?

— Przyjdą jutro, kiedy nikogo nie będzie — roześmiała się. — One co- raz bardziej robią się podobne do ciebie.

Adam ograniczał się do pocałun- ków, lecz reakcja Reginy była nie- spodziewanie gwałtowna. Nie była tak niewinna, jak myślał; w każ- dym razie jej rozbudzona wyobraź- nia nie pozostawiała wątpliwości. W pewnej chwili starał się ją uspokoić, usadzić na poduszkach, lecz ręce miała tak silne i zwinne, że nie u- miał sobie z nią poradzić. Wstał, by się nieco doprowadzić do porządku.

— Usiądź — szepnęła Regina — i nie odchodź. Muszę ci coś powie- dzieć. O tak, bliżej. Uważasz mnie za wariatkę? Lecz zastanów się. Co mam robić całymi dniami, gdy wszy- scy chodzą do szkoły, biegają za sprawunkami, idą na spacer? Czy- tać? Ile można? Miłość wymaga czy- jegos spojżenia, cudzego dotyku, nawet twojego wstępu. Nie udawaj. Jestem kaleką. A jednak myślę, ma- rzę, tak samo, jak ty.

Nie odzywał się. Nie mógł po- być się uczucia wstydu. Nie przy- dzie więcej, to było oczywiste, lecz Regina miała swoje racje. Zapewne nie był pierwszy. Wszyscy korepe- tytorzy musieli tak kończyć. Poczuł jej rękę na swojej dłoni.

— Nie martw się. Chłopcy zaw-

sze są smutni, gdy dziewczyny szczęśliwe. Mamy inną naturę. Jes- teśmy bardziej wrażliwe. W nas jest cały świat, podczas gdy każdy z was wiecznie przy pierwszym podmuchu. Boisz się, że poproszę cię znowu o miłość? Mylisz się. Mam ciebie do- syć. Jesteś typowy goj, który wysty- dzi się grzechu. Twoje dziewczyny mają ładniejsze nogi, lecz nie po- trafiają tego, co ja. Musisz przyznać. Obudź się.

Na szczęście przyszła matka. Adam mógł się wynieść. Nawet za- pomniał zostawić jednodniówkę, któ- rą przyniósł Reginie.

Pierwszego maja koło Domu Ludowego zebrali się tłumy, niosły transparenty, wznosiły okrzyki, śpiewały. Poseł Czarnecki otworzył wiec, przemawiał Stanisław Dubois; po nim Smolan. Wreszcie ruszyli. Policja, dyskretnie pochowa- na w bramach, nie robiła przeszkód. Na Starym Rynku pojawiły się sztandary KPP i Niezależnej Partii Chłopskiej. Z wozu przemówił po- seł Fiderkiewicz. Zabrał głos także Jaroszkiewicz i Haber z Bundu. Od- śpiewano „Czerwony Sztandar”, „O- cześć wam, panowie magnaci”, „Mię- dzynarodówkę”. Zgromadzeni zaczęli się rozchodzić. Młodzież rozproszyła się po chodnikach i starała się nie iść grupą.

Nazajutrz Nidziński, Stępiński i Targowski zostali wezwani do dy- rektora Obidy. Odbyło się jednak bez krzyku.

— Mogłbym was zawiesić w pra- wach uczniów, lecz nie zrobię tego. Macie zaledwie dwa tygodnie do matury i szkoda waszej pracy. Szkoła to szkoła i szacunek jej się należy. Wykorzystujecie sytuację zamętu w kraju, by rzucić dyrektora na kolana. Będziecie jeszcze kiedyś żałować. Dyscyplina obowiązuje wszędzie. Przyjdzie czas i przypo- mniecie sobie starego Obidę. No, ci- macie na swoje usprawiedliwienie! Chłopcy milczeli, wreszcie Adam zdobył się na odwagę: — Nie prze- ciwstawiliśmy przeciw szkole. Prze- ciwnie, chcieliśmy zaznaczyć jej o- becność.

— W pochodzie pierwszomaj- wym? — zdumiał się Obida.

— Nie zrobimy wam, dyrektorze, na maturze zawodu.

— W to nie wątpię. Mam nawa- taką propozycję, by na akademii Adam wygłosił referat na temat twórczości Słowackiego. Sprowadź- my z Paryża jego prochy, nie na- leży tej okazji pominąć.

Wyszli z gabinetu nieco zdezorien- towani. Obida wydał im się sympo- tyczniejszy niż zawsze i postanowił bez żadnych hec wytrzymać do ma- tury.

Pierwszy dzień otwierała matem- tyka, i dla wielu właśnie ona mia- ła decydujące znaczenie. Drugiego dnia — język polski. Tematy były trudne, zresztą spodziewano. Dla Adama najcięższym przeżyciem był pisemny z niemieckiego.

Sesja maturalna przysłoniła wy- darzenia polityczne. Zamach Pił- sudego pozostał im w pamięci tylko z gazet i radia. Wprawdzie 30 paź- dziernika wyruszył do Warszawy na pomoc Piłsudskiemu i koszarę zajęły czar- sowe oddziały „Strzelca”, w które- szeregach przez jedną noc dyżuru- wała młodzież z kółka gimnazjal- nego, lecz powszechny strajk kole- gów odciał Łomżę od Warszawy i wszystkie wiadomości dochodziły z dużym opóźnieniem.

Dramatem dla rodziny Mar- cinkowskich była śmierć Romka, po- ległego w walkach o Belweder. Jednostka Romka po- niosła duże straty, zarówno podo- starcia o Ministerstwo Spraw Wo- jskowych, jak i w ostatniej fazie. Romek, wierny przysiędze żołnie- rskiej, bił się w oddziałach, które podlegały ministrowi Malczewski- mu, i nie tyle bohaterstwo, co za- blakana kula położyła kres jego ciu. Był to cios dla rodziny, spr- patyzującej raczej z Piłsudskim niż z Witosem. Przeżył tę historię nie- ko starszy doktor, lecz zwłaszcza w- cek. Po powrocie z pogrzebu do Łomży oświadczył Adamowi, że nie- wa wszelkie związki z kółkiem so- jalistycznym, gdyż nie chce mieć nic wspólnego z mordercami po- skich żołnierzy.

— Nie socjaliści brali udział w wojnie bratobójczej.

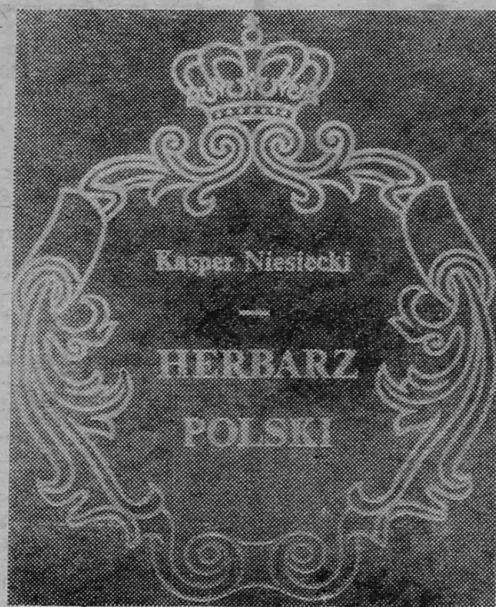
— Lecz poparli Piłsudskiego. Państwo również. Państwo jest pa- stwem i nie droga zamachów sta- prowadzi do naprawy Rzeczypos- pólnej. Wstępuje na Wydział Lek- cyj Uniwersytetu Warszawskiego. W- czyż moja jest nieodwołalna.



złowrogi mit



fizycy



i rolnicy

Niewiele wiemy o wydarzeniach z roku 1914, kiedy wojska niemieckie dotarły do Łomży. Umknęły w terworze późniejszej — z roku 1918 — radości z powodu odzyskania, po ponad 120 latach, tak upragnionej, niepodległości Polski. Później jeszcze jedna, niszcząca zawierucha wojenna dopełniła miary. Niewiele zostało dokumentów, rozproszyły się, uległy zniszczeniu. O tych dniach, kiedy po brukach Łomży maszerowały kajzerowskie oddziały, mówią czasami nasi dziadkowie; czasami, bo obraz drugiej wojny i niemieckiej „Kulturkapf” jest ostrzejszy, bardziej bolesny i okrutny.

A przecież obraz Polski — słomianych chat, biedy, „polskiego okrucieństwa” poszedł w świat, zanim o niemieckim faszyzm się narodził. Mit o niemieckim posłannictwie cywilizowania Wschodu odbijał się w świecie echem równocześnie z „Parademarsz” na ulicach zdobywanych miast.

Jest w Łomży miejsce, gdzie z ogromną pieczołowitością gromadzi się wszelkie ślady historii na Ziemi Łomżyńskiej — pamiątki, dokumenty nasze i obce; Łomżyńskie Towarzystwo Naukowe im. Wągów. Helena Czernek — sekretarz tego Towarzystwa — od lat dba o to, by najmniej jedna wzmianka o Ziemi Łomżyńskiej nie zaginęła. Znalazł się w tych zbiorach, wydany w roku 1918 w Berlinie, album — propagandowe wydawnictwo dla pruskich obywateli. Nosi on tytuł „315 obrazów z wielkiej wojny”. Jest swego rodzaju unikat: adresowany „do swoich”, a jednocześnie do innych, dalszych odbiorców, miał tworzyć swoiste kompendium wiedzy o ziemiach polskich i ich mieszkańcach.

Jeśli przyjrzymy się tym zdjęciom, przestaniemy się dziwić, że wyruszający do Polski północno-wschodniej Niemiec czy Szwajcar bał się spotkania z niedźwiedziem w Łomży czy Białymstoku.

Okupanci weszli do Łomży w nocy z 9 na 10 sierpnia 1915 r. Władze cywilne powołali w październiku. Prawdopodobnie w tym właśnie okresie powstały zdjęcia z albumu. Zawiera on zresztą nie tylko fotografie z Łomży, ale także obrazki z Warszawy, Modlina, Ostrowi, Ostrołęki, Pułtuska, Łodzi, Częstochowy i Mławy. Wyselekcjonowano je w sposób tak oczywisty, że aż prostactki; mimo to skutecznie przemawiający do sentymentalnych Prusaków. Zebrał je dziecko było przecież czymś burzącym dla niemieckiej dobrej „Mutter”. „To dobrze, że mój syn walczy na tej wojnie o to — mówiła taka — by dzieci tych barbarzyńców nie musiały zebrać”.

Zdjęcia ukazują wsie pod słomianymi, dotykającymi prawie ziemi dachami, wałace się ściany nędznych lepiank oraz stojących obok pruskich żołnierzy, którzy „dla dobra tych dzikich Polaków wyprowadzili ich z niebezpiecznych dla życia domów i teraz pilnują, żeby przed rozebraniem rudery nikt tam nie wchodził”.

Zrujnowana i biedna jawiła się Polska, przefiltrowana przez obiektyw pruskiej propagandy. Z dziesięciu, dwudziestu chałup fotograf wybierał tę najgorszą, najbardziej dziurawą. Obdartaś w szulki w całym powiecie i zajmowali się tymi, którzy byli najbardziej godni pożałowania. A naprzeciwko ich ustawiano „wyzwoleńców” — czystych, schludnych, dożywionych, zadowolonych z siebie. W ten sposób tworzono mit, który obrodził dwadzieścia kilka lat później: potworną zbrodnię faszystowskiego ludobójstwa.

TERESA POLECKA
Fot. Archiwum

Gdyby mi przyszło sprecyzować, czym różni się twórczość Zbigniewa Waydy (którego nie znam), Zenona Piechocińskiego (którego znam) i Stanisława Jerzego Leca (którego znam), byłbym w kłopot. Oczywiście, z rozważania sprawy w kategoriach „znam — nie znam — znam” nic nie wynika dla twórczości.

„Myśli niesforne” Zbigniewa Waydy tylko tytułem przypominają „Myśli nieuczesane” Stanisława Jerzego Leca. Mówimy wprawdzie o niesfornym loku czy kosmyku, ale... Co tu dużo gadać. Wystarczy przeczytać jedno i drugie „myśli”. O Piechocińskim zaś powiem krótko: jak rymuje — nie myśli, jak myśli — to nie rymuje.

Tak czy owak, na placu boju pozostała aforystyka zapisana na serwetkach w „Wilanowskiej”, „Telimnie” i paru innych kawiarniach. Lec był nie tylko dowcipny, cięty i szybki w języku, co nieczęsto zdarza się zawodowym satyrykom, ale również ironiczny, a nawet autoironiczny.

O swoim tytule barona powiedział mi kiedyś: „Rodzina dość jednostronnie handlowała tytułami z dworem wiedeńskim. Habsburgowie sprzedawali nam tytuły, my im cierpliwość. Dziedziczne dobra musieliśmy kupować sami, ale na to nie starczyło już pieniędzy. Widocznie za bardzo z nas zdzierali”.

Apoftegmaty Leca są powszechnie znane, a o jego piekielnej inteligencji i rzetelnej wiedzy w dwóch dziedzinach (literatura niemiecka i kodeksy honorowe) mogą zaświadczyć jedynie ci, którzy z nim przynajmniej kilkakrotnie rozmawiali. Leca cechował nieprawdopodobny wprost brak snobizmu. Ten austriacki baron, oficer GL, AL, major WP, radca attaché itd., gotów był wszystkie zaszczyty porzucić dla jednego rzecznego kalamburu. Rzadka to cecha. Na ogół nie brak ludzi, którzy ryzykują śmieszność, przypisując się do takiej czy innej arystokracji. Nawet w środowisku uczonych zjawiał się ktoś, kto twierdził, że „fizycy tworzą unikalną małą grupę, będąc nową odmianą rasy ludzkiej... arystokracją intelektu i ideałów”.

Właśnie przedstawiciele nauk ścisłych, a szczególnie fizycy, mieli na ogół (i mają) wspaniałe poczucie humoru. Powiedzonka Nielsa Bohra, portrety Feynmana, zdobiące wydania szacownych akademickich podręczników (słynne zdjęcie amerykańskiego uczonego, ubranego w slipy i grającego na tam-tamie), czy znana definicja fizyki Jay Oreara („Fizyka to to, czym zajmują się fizycy w chwilach wolnych od pracy zawodowej”), są najlepszymi świadectwami tryumfu mądrego żartu czy ironii nad pretensjami do „nowej arystokracji”.

Zresztą w Rzeczypospolitej, gdzie — przynajmniej w teorii — obowią-

zywała swoista stanowa równość (wyróżniona słowami maksymy: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”), takie poszukiwania arystokratycznych więzi nie miałyby sensu. Tytuły hrabiowskie, baronowskie, margrabiowskie, często były nadawane przez „obcych” za zasługi nie zawsze zgodne z interesami Polski. Dlatego bardziej interesują nas filiacje i rodowody zwykłej szlachty, tzw. karmazynów, albo biednej szlachty, czyli sitarzy. Nazwa tych ostatnich bierze się stąd, że sami obsiewali swoje pola, na co wystarczała nawet zawartość jednego sita.

Dziś o dwóch (co najmniej) rodach Karwowskich. Dwojakim herbem pieczętowali się Karwowscy. Jedni byli herbu Pnieinia, drudzy herbu Rawicz. O klejnocie Pnieinia (dwie łapy niedźwiedzia na czerwonym tle, trzymające jabłko przebite beltem strzały) tak pisze Paprocki: „Ten klejnot z dawna dawany od książąt mazowieckich jednemu strzelcowi dobremu, który wielkiego szkodnika niedźwiedzia zabił z kusze, wtenczas gdy go obaczył, a on jabłko jeść chciał, on go prosto ugodził w gardło, padł w znak niedźwiedź, on go dobieżawszy przedko łapy odciął, przyniósł przed książę, który nagrodę znaczną obiecywał temu, który zabił”.

Karwowscy-Pnieinia żyli w województwie rawskim, a więc na Mazowszu. Również w rawskim województwie żyli Karwowscy herbu Rawicz, ale tam mieli wielu stryjców, czyli szlachty noszącej inne nazwiska, lecz posługującej się tym samym klejnotem rodowym. Wierzone wówczas, że posiadanie tego samego herbu świadczy o powinowactwie. Np. znany publicysta szlachecki, ekskiad Stanisław Orzechowski, swoim stryjcem nazywał Mikołaja Reja. Starsi historycy i heraldycy twierdzą zgodnie, że herb Rawicz przywędrował do nas z Czech.

Przodków rodu Rawicz wspomina Długosz, zaznaczając, że byli ludźmi zuchwałymi i okrutnymi, ale również religijnymi, czyli nie pozbawionymi zasad moralnych. O samym herbie tak pisze Paprocki: „Ma być panna rozczesana w koronie, ręce rozszerzone mając, na niedźwiedziu czarnym siedzi w polu złotym”. Według Kromera — herbem Rawicz pieczętował się książę czeski, Kochan, który przywędrował do Polski w 1003 r. z całą, dość liczną, rodziną. „Tenże historyk w księgach piątych potwierdza tej życzliwości herbu tego przeciwko narodowi polskiemu, i wiele ich znowu do Polski przyszło w roku 1106. Chceszli szerzej wiedzieć, czytaj pomienionego historyka księgi nazwane”. Czyli Kromera, księga III i V.

Warto, choćby po to, żeby się przekonać, że dawnym historykom na koncepcie nie zbywało i wcale nie byli tacy naiwni, jak wasz

STRYJEC.



nauka niełatwa ani mała

Jedną z najbardziej zdumiewających rzeczy w Londynie jest wzajemna grzeczność kierowców. Miasto jest ogromne, samochodów moc, a ulice dość wąskie — więc przeróżnych zdarzeń i słuczek sporo. W Polsce w takich okolicznościach kierowcy wyskakują z rykiem i wyzwiskami; tam uśmiech, kilkadziesiąt sekund formalności ubezpieczeniowych i przyjazne pożegnanie. Ale ta różnica stylów odnosi się nie tylko do samochodów, niestety. Chamstwo i ordynarność króluje w naszych codziennych stosunkach, i to także w środowiskach, gdzie ich być nie powinno. Smutne to i paskudne, wiele już na ten temat napisano, ale — jak się zdaje — zupełnie bezskutecznie. Skąd się to bierze?

Wskutek awansu społecznego całych klas i środowisk? Otóż śmiewać. Wbrew różnym pomówieniom, wieś wcale nie charakteryzowała się jakimś szczególnym chałstwą. Ludzie wychodzący z kościoła traktowali się nawzajem jak ludzie, nie jak krowy. Presja opinii i zwyczajowi istnieli także tutaj, i właściwie wszędzie. Rzecz jednak w tym, że właśnie owa presja zniknęła, sztywne dotąd granice pękły i ludzie znaleźli się w obliczu wolności obyczajowej. I tu nieszcześć. Nieszcześć, bo do wolności trzeba umieć dorosnąć. A to jest nauka, której w szkołach nie uświadcysz. W rezultacie rymsztok gnojo-mowy spoteźniał i stał się tym, pozał się Bóże, pułapem, do którego podciąga się i dostosowuje całość zachowania. Ty le już pisano o szkodach stąd wynikających, że nie chce mi się do tego wracać. Ale poza wszystkim jest to przecież odrażające. Jak ludzie mogą tego nie widzieć?

Ano, jakos nie widza. Dlaczego jednak? Bo ich nikt nie nauczył, nie poprowadził, nie skarcił wreszcie. Zachowujemy wyniosłe milczenie albo trzymamy się zasady, aby g... nie tykać. I z powszechną aprobatą — g... się rozrasta. To prawda, trzeba nieraz sporo odwagi cywilnej, aby się zdobyć na ingerencję. Toteż byłam prawdziwie zbudowany, gdy w zeszłym roku, w okolicach Gnieszna, usłyszałem, jak ojciec wyraźnie robotniczej rodziny ostro zbesztal parę rozchamionych wyrostków. Zdobyl się na to, na co wielu zawodowych inteligentów najpewniej by sie nie odważyło. Ktos mu tam nawet odszczeknal, ale slabo. I chyba na przyszlosc bedzie wiedzial, ze takie zachowanie moze sie spotkac z protestem.

Podkomorzy nie tylko powiedział, że „grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą”, ale pokazał, jak należy ją aplikować: własnym przykładem po prostu. Istotnie, to jest etap pierwszy: przede wszystkim sami pokazujemy, jak trzeba się zachować, jak trzeba mówić. Mam jednak wątpliwości, czy to już wystarczy. Trzeba zająć postawę o wiele bardziej aktywną. Po prostu ingerować. Ostro przypominać naszym rozmówcom. (lub po prostu tym, dla których jesteśmy jakimkolwiek autorytetem), że nie tak należy postępować. Oczywiście, w dalszym ciągu będzie to chałupnictwo. I zapewne należałoby sięgnąć do bardziej sformalizowanych sposobów działania: do szkoły, a także do urzędów, bodaj tych tylko — na początek — które mają cokolwiek wspólnego z kulturą. Administracyjnie uczynić grzeczności? Wydaje się to beznadziejne. Ale cóż właściwie mamy lepszego?

W każdym razie uzyskalibyśmy jakieś szersze potępienie społeczne, które następnie mogłoby już być o wiele skuteczniej dopełniane naszym własnym przykładem i ewentualną ingerencją. Może i są jakieś lepsze sposoby, ale ja ich nie znam. Pewnie że jest wiele innych społecznych spraw, bardziej dojmujących, bolesniejszych, doniesieńszych. Ale przecież walka z chamstwem, to walka o styl społecznego działania, o większą tego działania skuteczność, o kształt i piękno świata, na którym żyjemy. Czy to na prawdę nic nie znaczy?

PIOTR KUNCEWICZ

Jest to liczba aktualna dla zamierchliwych, przedwojennych czasów, ale zapamiętałem ją — z uwagi na dramatyczne okoliczności — doskonale. Otóż zostałem niespodzianie wyrwany do odpowiedzi z geografii i spytany o liczbę ludzi na kuli ziemskiej. Oczywiście, nie wiedziałem, ponieważ demografia leżała bardzo daleko od mojej ówczesnej sfery zainteresowań. Uratował mnie kolega z ostatniej ławki, wznosząc w górę dwa palce gestem, który w dzisiejszym słowniku znaków politycznych oznacza zwycięstwo. Patrząc na te dwa palce odpowiedziałem z godnością: dwa miliardy — co mnie w ostatniej chwili uratowało przed dwójką. I teraz, ilekroć przeglądam ONZ-owskie statystyki demograficzne, przypominam sobie scenkę z czasów gimnazjalnych.

Gdyby ta scenka działa się dziś — kolega musiałby wzniesić do góry całą dłoń ze zgietym kiukiem, jest nas bowiem na globie ziemskim czterzy i pół miliarda. Między połową trzeciej a początkiem przedostatniej dekady XX wieku liczba ludności wzrosła ponad dwukrotnie. My tego bezpośrednio nie czujemy, ponieważ dopiero niedawno nasz kraj zregenerował wojenne straty ludnościowe i osiągnął przedwojenny poziom trzydziestu kilku milionów. Natomiast czujemy pośrednio, ponieważ zaczyna nam doskwierać to, co się określa jako kryzys ekologiczny, a co jest przede wszystkim skutkiem antropopresji, czyli nacisku człowieka na środowisko, w którym żyje.

Określenie „antropopresja” pojawiło się w ekologii stosunkowo nie-

Rozwój przemysłu, będący zresztą warunkiem mechanizacji i chemizacji produkcji żywności, wydlatnie zwiększa nacisk człowieka na środowisko. Spalanie zaszarczonego węgla sprawia, że z chmur pada nie, jak dawniej, woda destylowana, lecz roztwór kwasu siarkowego, co osłabia żywotność drzew szpilkowych, z których głównie składają się polskie lasy. Dolina Ojcowa, choć ją chroni prawny status parku narodowego, ginie od wyziewów przemysłu. Zresztą po co przemysł: Tatrom, mającym ten sam status, grozi w dosłownym sensie rozdeptanie przez miliony turystów. Antropopresja niszczy przyrodę w sposób coraz bardziej drastyczny, i to nie tylko w skali lokalnej, to znaczy tam, gdzie występują największe skupiska ludności i najintensywniejsza działalność gospodarcza, lecz globalna; wyraża się to m. in. w zatrąwianiu oceanów, których fitoplankton jest głównym producentem tlenu na naszej planecie, czy niszczeniu puszczy tropikalnych.

W odróżnieniu od innych istot żywych, z którymi współzależymy na ziemi, człowiek w niewielkiej mierze przystosowuje się do środowiska, w którym żyje, natomiast przystosowuje to środowisko do swoich potrzeb. Dlaczego więc, u licha, nie przystosuje do swoich potrzeb własnej rozrodczości, regulując ją tak, aby zapewnić optymalną gęstość zaludnienia planety? Optymalna — to znaczy taka, która wszystkim pozwala żyć dostatnio i wygodnie.

Szukając odpowiedzi na to pytanie dochodzimy do faktu wręcz żenującego. Na straży żywiołowej rozrodności stoi tabu ukształtowane w

sześciu tłustych synów

dawno, i chociaż trafia się już do języka codziennego, nie stało się jeszcze pojęciem obiegowym. Przyczyn kryzysu ekologicznego dopatrujemy się w bezosobowym „rozwoju cywilizacyjnym”, a konkretnie — w dwu jego przejawach: industrializacji i urbanizacji. Jednakże do naszej świadomości nie dotarło jeszcze przeświadczenie, że są to właśnie formy nacisku człowieka na środowisko. Owszem, od dawna jesteśmy straszani „bombą D”, czyli demograficzną, jednakże ten straszak odnosi się niemal wyłącznie do produkcji żywności i najczęściej przejawia się w pytaniu: „Czy Ziemia może nas wszystkich wyżywić?”

Optymisci odpowiadają twierdząco, dowodząc, że — po pierwsze — mamy jeszcze olbrzymie rezerwy produkcyjne (m.in. różnice wydajności w rolnictwie przodującym a zacofanym, możliwość wzięcia pod uprawę nowych obszarów po ich nawodnieniu, wykorzystanie biomasy z oceanów), a po drugie — znajdujemy się w przededniu opracowania technologii syntezy żywności. To wszystko prawda, lecz cóż z tego, że za sto lat każdy będzie mógł się do syta najść potrawami prosto z reorty chemicznej, skoro trzeba będzie sypiać na trzy zmiany, bo nie dla wszystkich wystarczy miejsc leżących. Przecież człowiekowi do szczęścia jest potrzebne nie tylko jedzenie, lecz również przestrzeń do swobodnego poruszania się, słońce, powietrze, przyroda.

czasach, kiedy o szansach życiowych jednostki decydowała, wynikająca z liczebności, siła narodu — siła ekonomiczna i militarna. W Chinach, chcąc komuś życzyć szczęścia, życzy mu się posiadania wielu tłustych synów. W całej południowo-wschodniej Azji, gdzie żyje, zachowująca dawne obyczaje, diaspora chińska, widuje się tandetne obrazki, przedstawiające kilkoro tłustych niemowląt — to symbol szczęścia. A koczowniczy patriarcha, który — dzięki Biblii — z Mezopotamii trafił do kultury europejskiej, niczym się tak nie cieszy, jak obietnicą: „rozmnóż pokolenie twoje”.

Choć stare stosunki ekonomiczno-społeczne, uzasadniające to tabu, dawno przestały istnieć, ono samo wciąż pozostaje w ludzkiej świadomości. Postulat regulacji rozrodczości nadal budzi protesty, i to z różnych, nawet przeciwstawnych sobie światopoglądowo pozycji. Wysuwający go bywałem uznawany to za niemoralnego bezbożnika, to za neomaltuzjanistę. Jednakże żaden z adwersarzy nie potrafił mi udowodnić, że człowiek mający sześciu tłustych synów jest trzykrotnie szczęśliwszy od tego, który ma dwoje dzieci.

Różniemy więc w liczbę. Już za kilka lat, chcąc pomóc wyrwanemu do tablicy koledze, trzeba będzie użyć dwu rąk: na rok 1990 ONZ-owskie prognozy przewidują ponad pięć i ćwierć miliarda mieszkańców naszej planety.

ZBIGNIEW SIEDLECKI

Nie znoszę jazdy autobusem. Przed każdą podróżą nie mogę w noc, wszystko leci mi z rąk same okropności. Dobrze o tym myślała moja żona, dlatego nie protestowała zbyt mocno, gdy zaproponowałem odbycie podróży do Łomży pociągami. Była to jednak bardzo nierozsądna propozycja.

Pociąg włókł się szalenie długi. Momentami odnosiło się wrażenie, jakby ciągle powracał w to samo miejsce. Na jednym odcinku drogi przed Sniadowem, ktoś wysiadł przedziału i szedł obok wagonu. Był to surrealistyczny obraz z pogranicza snu i rzeczywistości.

Spominaliśmy rozmowę przy ka-
wiarńnianym stoliku. Spoglądaliśmy
za okno: zwożono zboże, zaory-
poła, gdzieś smuga dymu uchodzi-
w niebo z rozpalonego ogniska. Kr-
jobraz jednostajny i melancholijny.
Na jednej z mairych stacyjek do wa-
gonu weszła spora grupa ludzi, tas-
czących ciężkie toboły i spore bo-
ny chleba. Świeży, dawno zapomnia-
ny zapach wieskiego pieczywa
pełnił przedział. Wchłanialiśmy w
zapach; chciało nam się ugryźć
chleb, poczuć jego smak w ustach.
Odezwała się tęsknota za tym, co
odchodziło już na zawsze — bez-
wrotnie. Zapach chleba został
pamięci jak dawno zasłyszana, ca-
rowna opowieść.

Następnego dnia mieliśmy się spotkać z Henrykiem, który wówczas administrował łomżyńską Kulturalną. Znałaliśmy się co prawda od dawna, lecz nasze spotkania były przelotne. Teraz przyjdzie nam razem wspólnie pracować czy współpracować. Lepiej było jednak nie wyprowadzać myślimi tego, co nas czekało, lecz obserwować lot ptaków, zdających w przeciwnym kierunku, w ten, w którym zmierzaliśmy.

Pociąg nagle się zatrzymał. Z p
ronu doleciał okrzyk: „Łomża m
sto, wysiadać!”

Wyszliśmy. Przed nami stał skurny barak czy domek, jakie ra-
ko spotyka się nawet na małych sta-
cyjkach Dolnego Śląska. Nie byli-
my pewni, że właśnie tu należa-
ło wysiąść, a jeszcze później przy-
myśli, że może nie było to miasto,
którego mieliśmy przyjechać.

Spytaliśmy o hotel „Polonez”. Więc to na prawdę tutaj. Taksoni na lekarstwo. Ruszyliśmy pociąg. Mijałymi male drewnian zabudowania, planty, przez które prześwitywały fragmenty osiedli. Parę minut po 19.00, a ulice prawie puste.

— A jeśli ten „Polonez” to barak — próbowałem zażartować. Zmęczona twarz żony przekonała mnie, że był to żart nie na mój

Minęliśmy rondo. Przed nami
jawił się, stojący na najwyższym
wzniesieniu, wysoki gmach; na
neonowy napis dużych rozmiarów
„Polonez”. Spojrzeliśmy na si-
dzieniącego na dachu dworca
zdziewienią. Barak na dworcu
gmach tutaj — to kwiatek przy-
jęzuch. Przechodząca recepcja.
obsługa. Dopiero rozmowa toczy-
w wielu językach przypomnieliśmy
że miasto jest położone na atrak-
nym szlaku turystycznym.

Pokoję z łazienką; czysto, schludny. Wyszliśmy jeszcze na chwilę do hotelu, aby popatrzeć sprzed balustrady na szeroko rozlaną, płynącą na rzece. Nie mieliśmy ochoty iść w kierunku miasta, a może po prostu baliśmy się, aby nie zobaczyć czegoś przypominającego dworzec kolejowy. Z napisem „Łomża miasto”

JAN KUL



Rysunek Antoniego Kowalskiego



Tomasz Piotrowski reporter z końca świata



A nie zabłądzimy, jak z powrotem
będziem jechać? A że ci szlag tra-
fil z to drogo! Może do tej chałupy
ty zajdź sam? Toż tu koniec świata.

(Samochód staje, kierowca i repor-
ter wysiadają; szczerkanie psów)

KOBIETA I: Proszę pana, koniec
świata to nie u nas. Chlewki mamy
z kamieni, o widzi pan? I dlaczego
koniec, że my tak żyjemy? No, to
się przyzwyczaili tak, w tych do-
łach.

KIEROWCA: Dawno tu mieszka-
cie?

KOBIETA I: My? Już dwadzieścia
osiem lat.

MEŻCZYZNA I: Aaaa, że koniec
świata? Tu? O, paanie, nie koniec
świata. Można żyć z biedo, ale wi-
dzi pan, trzeba harać, trzeba robić.
Z renkawow piach wyrzucić. Trzeba
robić! Ooo, widzi pan, tu żytko za-
siane — ni ma Tu jest ogrodu ka-
wał, panie, i nie można wleźć, bo
mokro, panie. Deżdzy przeszkadza-
ją, panie. Ooo, widzi pan? Ni ma bronowania, ni
ma drepakowania, bo mokro jest
przede wszystkim. Ooo!

MEŻCZYZNA II: Bo nigdzie ni ma,
tylko tutaj punkt skupu tych ka-
mien. I to bardzo duże pieniądze
bioro za to. Nigdzie ni ma w Polsce
takiego skupu kamieni, jak tutaj, bo
so butelek punkty skupu, szmat, a
tutaj tego ni ma. To jest prawda, że
kamienie rosno w oczach.

MEŻCZYZNA III: Dosłownie —
miała być wybudowana. Każdy rol-
nik woli postęp i tę fabrykę, znaczy,
aniżeli rolę. Autokar przyjeżdża ra-
no i zabiera ludzi do roboty.

MEŻCZYZNA IV: He, he. To wy-
godniejsza będzie rzecz, jak wybu-
dowana fabryka będzie nam. Zlik-
widujemy gospodarstwa, będziemy
pracować w fabryce. He, he. Płoty
się porozbiera, chlewki, te stare, się
zrujnuje, sztachet nie będzie, pójda
na opał. Wozy też polikwidujemy. A
w fabryce to dobrobyt! Osiem go-
dzin odpracował i cześć. I zawiozą, i
przywiozą, i podziękują, że człowiek
pracował. A na gospodarce to mnie
nikt jeszcze nie podziękował, że pra-
cował.

MEŻCZYZNA III: No i wróciwszy
z pracy człowiek ma pełną sobie
rozrywkę, może sobie telewizję oglą-
dać, pójść sobie gdzie na spacer.
No, niestety, na roli trzeba całą
dniówkę pracować. Nawet w nocy.
No, a w fabryce to wolne soboty i
niedziele, tak że człowiek z tego ko-
rzysta coś niecoś.

MEŻCZYZNA IV: He, he. O dzie-
siątej śniadanie, o dwunastej zupa,
no, z kęsem mięsa jakiego. Przy-
chodzi tego trzydziestego i świeży
grosz jest, a z rolą to jest trochę
gorzej.

MEŻCZYZNA III: Jak będziemy
mieli fabrykę, to — niestety — w
czynie społecznym nie będziemy bu-
dować żadnych dróg. Niestety, pań-
stwo to wybuduje i będziemy mieli
elegancki dojazd do tej wsi. Będzie
jakaś konserwacja, jakaś zieleni po-
sada, coś w tym rodzaju, że będzie
to wyglądać miało.

MEŻCZYZNA IV: He, he. Kobiety
też nareszcie pójda do pracy. Będzie
mniej plotków. Wsi nie będzie, a bę-

dzie miasteczko. Bloki będą wybu-
dowane, takie same wszystkie i
równe. Będzie piękna ulica pod naz-
wą jakąś, a teraz nie ma na naszej
ulicy żadnej nazwy. Będą też komi-
ny wysokie i dymy będą przecho-
dzić.

MEŻCZYZNA III: Soltys chodził
i listy kazał pisać do władz różnych,
żeby to fabrykę nam wybudowali.
Twardo kazał pisać, żeby była inic-
jatywa oddolna. Dobrze ja staram
się i dbam o to, żeby była. Już cze-
tery listy wysłał pośpiesznie, polecane
takie. Niech się poprawi chłopu byt
na wsi. I jeszcze będziemy pisali, że-
by szybko wybudowali.

MEŻCZYZNA V: Tak za rok żeby
była już.

MEŻCZYZNA VI: Ja się zgadzam
i za półtora.

MEŻCZYZNA V: Bo w zasadzie
to jest tak: człowiek wioskowy to
nawet nie ma czasu umyć się. Na-
wał pracy ma. A miastowy człowiek
to tylko się myje. Pan utrzymuje,
no, kształt siebie, modny pan, a ja
jak się nawpieprzam tej kartofli, to
muszę wyglądać teżej, prawda?
Od czasu do czasu to i kawalek mię-
sa, nie zawsze same kartofle, ale
przeważnie to czasu nie ma.

MEŻCZYZNA III: Na roli trzeba
pracować.

REPORTER: W fabryce też trzeba
pracować.

MEŻCZYZNA III: Ale jest w koń-
cu trzy przerwy, a na roli tego, nie-
stety, nie ma. Ziemi, bydłaków się
nie oszuka...

REPORTER: A fabrykę można o-
szukać?

MEŻCZYZNA III: No, raczej, że...

MEŻCZYZNA VIII: Ja to jestem
nietutejszy, ale wszystko wiem.

REPORTER: Co pan wie?

MEŻCZYZNA VII: Jeden ze wsi
zaszedł daleko. Był tu raz na rybach
i obiecał fabrykę, że wybuduje, ale
— niestety — zmarł.

MEŻCZYZNA III: Nastąpił zgon!

MEŻCZYZNA VII: A drugi teraz
zaszedł do województwa. No, nie
jest jeszcze tak wysoko, ale dorobił
się pewnej rangi i zaczynał obiecy-
wać znów, że tę fabrykę postawi, a
ludzie głupie wierzą, że coś takiego
ma być, a tu — niestety — na tym
teren nie było i nie będzie. Tu chłopstwo głębiej ma upra-
wiać dobrze i równo.

DZIEWCZYNA: I sklepy będą, i
kawiarnie, kina też będą i teatry.
Przedtem to występowałam w ze-
spole i jeździłam po całym powie-
cie, a później to po gminie z wystę-
pami różnymi. Teraz do domu idę
pięć kilometrów, bo komunikacji nie
ma, ale bardzo jestem zadowolona.
Już pół roku jestem zadowolona.

MEŻCZYZNA VII: A ta panienska
to chodzi tylko i szuka takich, żeby
po prostu dla niej dziecko zrobili,
bo ona jest piosenkarką, no i myśli,
że jej dziecko będzie wielce utalen-
towane, jakimś aktorem albo co. A
to, niestety, najwyżej może być dy-
rektorem czy coś takiego. Bo stąd
właśnie, z tych okolic, parę dyrek-
torów się wyłogło.

(Libacja w sadzie)

MEŻCZYZNA VIII: Lepiej wypij-
jemy i poczekamy, co będzie. A co,
może do pegeeru pójde krowy doić?
Kureza, co!?

MEŻCZYZNA IX: Wie pan, co ja
bym proponował? Może by tak po
kieliszku by zrobili? Za postęp, co
idzie.

MEŻCZYZNA X: No to naczynaj.

MEŻCZYZNA IX:

Kosiw Jaś koniuszynu,
kosiw Jaś koniuszynu,
kosiw Jaś koniuszynu,
spahladał na diełczynu.
A diełczyna żyto żala,
a diełczyna żyto żala,
a diełczyna żyto żala,
i na Jasia spahladała.
Czy ty Jaś, czy ty nie,
czy ty Jaś, czy ty nie,
czy ty Jaś, czy ty nie —
spodobalsia ty mnie.

MEŻCZYZNA VII: Hm... Panie, to
jest ciemnota. To jest ciemnogród w
stu, może w stu dwudziestu procen-
tach. Dlaczego? Bo oni myślą, że
kamienie, które są, to one same wy-
rastają siejąc nawozy. Nie żyto
szybciej rośnie, tylko kamienie, a
to nieprawda. Ja w gazecie czyta-
łem, że nieprawda bo, niestety, ka-
mien nie rośnie tu. Na tych gle-
bach można hodowlę owiec rozwi-
nać czy bydła mlecznego, czy opa-
sów, i — niestety — wszystko o-
biektywnie można zrobić, ale to są
lenie, zakute lby, ciemne. Ja ich kie-
dyś zebrałem i mówię, że te kamie-
nie nie rosną, żeby się za robotę
wzięli. Ale co pan jęlopowi wytłu-
maczy?

REPORTER: Ale pan też stąd po-
chodzi. Mogł pan zostać i pokazać
im, jak się gospodaruje.

MEŻCZYZNA VII: Owszem, zgad-
zam się całkowicie, ale obiektyw-
nie już od pięciu lat mieszkam w
mieście. Do Łomży aż wyjechałem,
byle dalej od tej ciemnoty. Niestety,
ja znam tych ludzi i te ziemie. Tu
można robić, tylko to są barany,
ciemne lby. Byłem zmuszony po
prostu wyjechać, bo współpracować
z nimi nie można. Oni nawet rzado-
wej wódki nie piją, tylko gonią po
krzakach ten samogon śmierdzący,
bimber. A jak się parobczaki popiją,
to...

MEŻCZYZNA IV: He, he. To ro-
zumie pan, pójchali do Hryniewicz
na zabawę, a tam stali szumieć, to,
rozumiesz pan, on wziął żelazne
grabie, a ten, co szumiał, był w ka-
peluszu, to on go uczesał tymi gra-
biami, że kapelusz został na gra-
biach; a ten, co szumiał, to od razu
przestał. Jak on go uczesał, to prze-
stał czegoś. Teraz taki łysy do poło-
wy głowy chodzi. He, he...

REPORTER: Często tak się dzieje?

MEŻCZYZNA IV: He, he. Dwa
razy w miesiącu chłopak chłopaka
trochę poszturmuję, to jemu lepiej
skutkuje ta zabawa. Drugi raz rwie
się szybciej, żeby jeszcze raz w kość
komu wsunąć albo kto jemu wsunie,
a na chłopaku zarasta skóra przed-
ko. Można grabiami, można szta-
chetko, można kłoniczko pomacać
delikatnie, letko tak — ech — za u-
chem grzebnąć.

(Wnętrze mieszkania; sygnał Dzien-
nika TVP)

MEŻCZYZNA X: Cała wieś lubi
dobre nowiny, to i ogląda telewizję.
Patrzą ludzie, kiedy ta budowa bę-
dzie się rozpoczynać. Niektóre już
zakupiły gorzalki trocha. Żeby ten
interes oblać.

MEŻCZYZNA VII: Widzi pan, że
zakute lby, ciemne? Jak ja tu mogę
wrócić, do tej ciemnoty i chamstwa?
Mam dobrą pracę i zarobki.

REPORTER: A ile pan zarabia w
tej Łomży?

MEŻCZYZNA VII: Do czterech i
pół wykręce.

REPORTER: To tak dużo?

MEŻCZYZNA VII: Od ojca mam
mięso, warzywa i tego tam, różne
inne rzeczy, to mi wystarczy.

TOMASZ PIOTROWSKI
Rys. ANTONI KOWALSKI

13
KONTAKTY
24.VIII.80

obyczaje



w środku
sezonu

W ciągu roku odbywa się w Polsce blisko czterdzieści większych i mniejszych festiwali piosenki. Znakomita ich większość to imprezy amatorskie (o znaczeniu lokalnym lub śród-wiskowym), o których mało kto słyszał. Rytm życia estradowego wyznaczają festiwale ogólnopolskie, transmitowane zwykle przez telewizję i pasjonujące setki tysięcy widzów.

Jesteśmy aktualnie w środku sezonu festiwalowego. Czy wniesie on coś nowego do polskiej piosenki? Jaką rolę w życiu estradowym pełnią w ogóle owe gigantyczne imprezy?

Festiwale piosenki — powiedzmy od razu — przeżywają obecnie na całym świecie nie najlepszy okres: maleje zainteresowanie nimi zarówno ze strony publiczności, jak i instytucji, które zwyczajowo podtrzymują je przy życiu swoimi finansami: radio i TV. Publiczność jest po prostu zawiadziona nieobecnością na nich największych sław estradowych, które unikają — nawet w charakterze honorowych gości, prezentujących się z własnymi recitalami — festiwalowego forum, gdzie łatwo o ryzykowne porównania i nie dość wyraźny sukces w natłoku festiwalowych wydarzeń. Radio i TV mają natomiast wiele innych, łatwiejszych w realizacji możliwości wypełnienia swojego programu rozrywkowego, łącznie z realizacją własnych festiwali (jak konkurs Eurovizji, a u nas festiwal sopocki), i nie potrzebują kosztownych i kłopotliwych, a przy tym nie uwzględniających ich własnej polityki artystycznej, soliterowo ciagnących się występów, na dodatek — nie zawsze najlepszej jakości.

Festiwale, kiedy były jeszcze nowością, stały się z pewnością pożyteczną formą promocji talentów piosenkarskich, miały duży wpływ na ustalanie hierarchii artystycznych, tworzyły szerszą opinię na ten temat, lansowały przeboje — były potrzebne zarówno środowisku artystycznemu, jak i publiczności, znaknionej imprez rozrywkowych o większym zasięgu. Dziś w odniesieniu do środowiska artystycznego funkcje te wypełniają lepiej, skuteczniej — i na co dzień — środki masowego przekazu: radio, telewizja, fotografia, gazety i magazyny ilustrowane.

Upadek znaczenia festiwali wiąże się ponadto z ich ogólną inflacją. Ponieważ w krótkim czasie namnożono ich w całej Europie ponad miarę — każdy pomniejszał wagę każdego. To samo dotyczy festiwali krajowych, i zdumienie budzi wieść, że rodzą się jeszcze inicjatywy stworzenia nowych imprez tego typu. Powstaje pytanie: komu są one w ogóle potrzebne?

Jest natomiast potrzebne i pożyteczne, a jednocześnie nie dające się zastąpić wyselekcjonowanym programem radiowym i telewizyjnym, tak masowe wkroczenie z piosenką w szeregi wykonawców-amatorów, jakie dają Festiwale Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze (nie mówiąc o innych funkcjach tej imprezy), czy oddziaływujące na codzienny, powszedni kształt naszej sztuki rozrywkowej, stworzenie szerokiej platformy do jej oceny, jaka usiłowały stworzyć — świętej pamięci — Targi Estradowe w Łodzi.

Obecny sezon nie przyniósł interesujących wydarzeń. Blednie popularność niedawnych gwiazd estrady, nie widąc młodych talentów, które mogłyby zająć ich miejsce. Kilka nagród na zagranicznych festiwalach nie świadczy o niczym: ani ich obsada, ani ranga nie pozwalają na euforyczne i samouspakajające oceny.

W dalszym ciągu rażąco słabą stroną polskiej piosenki jest jej aranżacja — mało ciekawa, nie dorównująca współczesnym aranżacjom zagranicznym. Również słaba reklama, skromna i rozproszona informacja, nieskoordynowane sposoby lansowania przebojów — są grzechami, które znamy od dawna. Społeczna popularność naszej piosenki przewyższa ciągle jakość jej obecnej egzystencji.

MAREK JAWORSKI

tenis w konspiracji

Tenis stołowy należy do dyscyplin sportowych, które wymagają od zawodników żelaznej dyscypliny. Klasyfikuje się w czołówce sportów najbardziej energochłonnych, wbrew pozorom statyczności. Wymaga zwinności i refleksu; ich brak dyskwalifikuje potencjalnych kandydatów do uprawiania tej dyscypliny. Oczywiście, niektóre niedociągnięcia można nadrobić intensywnym treningiem, ale bez wrodzonych predyspozycji wysokiej klasy nikt nie osiągnie.

Złośliwi mówią, że kibice na zawodach tenisa stołowego narażeni są na ciężką kontuzję — od ciągłego kręcenia głową mogą sobie zwichnąć kark. Opatrzność jednak czuwa nad łomżyńskimi kibicami: taka kontuzja im nie grozi, ponieważ zawody tenisa stołowego, nawet te drugoligowe, odbywają się w konspiracji. Przyczyną tego stanu rzeczy jest fakt, że organizuje się je w małych salach gimnastycznych, gdzie o wpuszczeniu widzów nie może być mowy. Jedynym miejscem w Łomży, gdzie kibice mogą obserwować zawody sportowe, jest sala gimnastyczna w Zespole Szkół Ekonomicznych; od biedy mogą tam służyć sale w Liceum Ogólnokształcącym i Liceum Medycznym. Te pierwszą zaadaptowano do potrzeb tenisa stołowego przy okazji Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Ale po spartakiadzie tenis stołowy musiał ustąpić miejsca innemu dyscyplinom, na które akurat zapanowała moda, a więc siatkówce i piłce ręcznej. Stało się tak zgodnie z obowiązującą u nas zasadą: mamy człowieka (trenera), robimy dyscyplinę, którą on lubi.

Drugoligowa sekcja tenisa stołowego ciągle musiła wędrować po

różnych salach w Łomży. Gdy dziewczęta awansowały do drugiej ligi, wyeksmitowano je ze Szkoły Podstawowej nr 4, a gdy chłopcy awansowali do drugiej ligi, wyrzucono ich z sali w Liceum Ogólnokształcącym. W drodze łaski przydzielono im salę w Technikum Weterynaryjnym. Jednak, jak wiecie, nieszczęście, i ją będą musieli opuścić.

Na razie powodu do alarmu nie ma, bo tenisiści przebywali na obozie w Przewięzi i trenowali w Liceum Ogólnokształcącym w Augustowie. Ze zgrupowania wrócili jednak szesnastego sierpnia. Ale na naszych działaczach można polegać: potrafią wszystko załatwić w

sport

ostatniej chwili. Pragnę tylko nieśmiało przypomnieć, że jedną z przyczyn spadku tenisistów z drugiej ligi był właśnie brak pomieszczenia do treningów. Zresztą, mało brakowało, aby drużyna poszła w rozsypkę.

W tym roku działacze sekcji i trenerzy odgrają się, że sprawę przydziału sali treningowej postawią na ostrzu noża. Potrzebują jej przynajmniej pięć razy w tygodniu, na cztery godziny dziennie, oprócz sobót i niedziel, kiedy to odbywają się zawody. Co z tego wynika — zobaczymy. Rozgrywki w każdym razie rozpoczynają się już siódnego września, czasu więc pozostało niewiele. W rozgrywkach różnych szczebli będzie uczestniczyć siedem męskich i żeńskich drużyn. Do tego trzeba jeszcze doliczyć szkolną tenisa stołowego, która star-

tuje od września w Szkole Podstawowej nr 6 — w ramach klasy sportowej z rozszerzonym programem wychowania fizycznego, w tym jednym przypadku problem z salą nie będzie: opiekę nad szkołą roztoczyła Rada Województwa Zrzeszenia Sportowego Spółdzielczości Pracy „Start” w Łomży.

Trenerzy — Wacław Tarnacki, Franciszek Polkowski — cieszą się, że w tym roku nie będą musieli wstydzić się ze względu na brak kostiumów. W ubiegłym sezonie zawodnicy występowali we własnych strojach i wyglądali w nich jak podwórkowa drużyna z lat pięćdziesiątych. — W związku z tym w dziale o mało nie przyznali pracownikom walkowerów. Ale to historia. Ze sprzętem obecnie jest najgorzej. W czasie wakacji porobiono niezbędne zakupy. Jakiś jeszcze sekcja otrzyma obiecane tacie z WSS „Społem”, może bardzo dobrze.

Pozostają tylko do załatwienia niektóre sprawy bytowe zawodników. Wymagań specjalnych nie ma. Członkinie kadry narodowej narzekały, że do niedawna nie dostawały kadrowego, które im się leżało. Nie narzekali też pozostali zawodnicy i zawodniczki, że po treningu nie mieli gdzie się umyć i czym ugasić pragnienia.

Trenerzy i zawodniczki, pytani to, kiedy awansują do pierwszej ligi, udzielają wykrętnych odpowiedzi, wymawiając się trudnością kadrowymi. Ale może dziewczęta śladem chłopców, którzy „na złość” działaczom i klubowi awansowali do drugiej ligi — także zrobią podobną niespodziankę, bo ambicją i dowcipem kolegom nie ustępują.

WYMIATA

Wśród moich znajomych jest wielu wędkarzy. Dzielę ich na niedzielnych, którzy łowią od przypadku do przypadku, i zapaleńców, to znaczy takich, którzy poza rybami świata nie widzą. Osobiście jestem czymś pośrednim, prowokującym żarty w stylu: „Mówi ryba do raka: mam w d... takiego rybaka”, oraz pytania o mydło. Nie obrażam się. W rewanżu pytam, co ich ryba ma na końcu wędkę, i jesteśmy kwita.

Ba, kiedyś łowiłem po dziesięć uklejek na jedną muchę. Lecz ostatnio żadnych sukcesów nie odnoszę. Nie dlatego, że brak mi umiejętności; chyba dlatego, że wody teraz marne (również Naręć), od wielu lat coraz bardziej zanieczyszczone, i latwiej w nich złowić stary kalosz niż żywcia. Wszystko wskazuje na to, że w niedalekiej przyszłości dzieci nasze będą oglądać ryby słodkowodne na obrazkach, a w najlepszym przypadku — w akwariach ogrodów zoologicznych, i to za specjalną opłatą.

Mam sąsiada; porządne chłopisko i wędkarz zapalony. Często zanika nocami, bo zbiera rosówki. Twierdzi, że to najlepsza przynęta. Któregoś dnia ulitował się nade mną i obiecał zabrać na liny, do których — pomimo skrupulatności przestrzegania zaleceń „Wiadomości Wędkarskich” — nie miałem szczęścia.

W sobotę, po zakończeniu programu telewizyjnego, czyli około północy, dyskretnie zapukałem do drzwi. Zabrałem, wcześniej przygotowany, sprzęt i poszliśmy z latarkami do pobliskiego parku zbierać rosówki. Łatwo nam nie było, bo ziemia sucha; w końcu jednak na dnie pudełeczka ruszało się trochę robaków. Potem szybko udaliśmy się nad rzekę, bo nad fortami niebo zaczynało już różowieć. Popłynęliśmy łódką... Oczywiście, ze zrozumiałych dla wędkarzy względów, nie mogę powiedzieć — gdzie. Dotarliśmy na miejsce, nad niewielki stawek, z brzegami zarosniętymi tartakiem, otoczony krzewami.

Otrzymałem polecenie założenia ciężkiego korka, takiego, jak przy łowieniu na żywcia, oraz dużego haczyka. Byłem trochę zaskoczony, bo w „Wiadomościach Wędkarskich” pisze, zestaw na lina ma być lekki, a haczyki małe, i to nawet dwa. Nasypaliśmy do wody po kilka garści rozkruszonych ziemniaków, które zostały z wczorajszego obiadu, i zarzuci-

liśmy wędkę — na granicy nenufarów i czystej wody. Tymczasem słońce weszło nad fortami i zrobiło się bardzo zimno, jakby to była wczesna wiosna, a nie pełnia lata.

Splawiki leżały nieruchomo w wodzie, a my w napięciu oczekiwaliśmy na pierwsze branie i nerwowo paliliśmy papierosy. Gdzieś obok szczupak uganiał się za drobnicą. Nagle w okolicy splawików zaczęły pękać pęcherzyki powietrza — co było oznaką, że liny zaczęły żerować.

— Cicho, kopia! — powiedział sąsiad, a ja pomyślałem, że chodzi o kartofle, których nawrzucał na całodzienny posiłek dla wszystkich linów w stawie.

Wreszcie splawik sąsiada rozpoczął znany taniec: zakreślał na wodzie różne esy-floresy. Gdy wolno się zanurzył, sąsiad zaciął. Za wcześniej. Szarpnięta żyłka zatoczyła łuk nad

głową i wylądowała w gąszczu krzewów. Odczułem ogromne zaskoczenie, że rzecz przytrafiła się tak nagle, a jednocześnie zaskoczenie, że mój splawik ani drgnął. Jak w staniu.

Przez dobrą godzinę, bo wędkarstwo to ludzie cierpliwi, czekaliśmy na branie; liny przemieściły się w inne miejsce, a my za nimi. „Kopie” wśród lilii wodnych, aż liście zaczęły. Dodatkowo obciążaliśmy wędkę, zmniejszaliśmy grunt i przeciętnie zarzuciliśmy, aby trafić w oczko pomiędzy liśćmi. W końcu udało się.

Straciliśmy po kilka haczyków, ale w siatkach trzepotały się złote liny. Zadowoleni, wróciliśmy do domu. Dzieci jeszcze spały, więc nie pełniłem wanny wodą i wypuściłem ryby. A żona, jak to żona, dyskretnie spytała: — Od kogo je kupiłeś?

JANUSZ NIEDZIELA



cierpliwi czasu nie liczą



prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz
rędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do dnia 10 każdego mie-
ca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty.
Instytucje gospodarki społecznej, instytucje i organizacje społecz-
no-polityczne oraz inne zakłady pracy składają zamówienia w miej-
scowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Zakłady pracy
miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenume-
ratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych
i doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przy-
jmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wy-
dawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa. Konto PKO nr 1531-71.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenu-
meraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100
proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR, REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Marek Rosiński — sekretarz redakcji, Tęch Kowalski, Danuta Sobolewska, Aleksander Froniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrinczy, Redaktor graficzny — Iwona Sielska, Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel, Wiesław Kolupa, STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Jerzy Brodziuk, Wiesław Janicki, Marek Jaworski, Henryk Kim, Klemens Krzyżagórski, Jan Kulka, Flor Kunciewicz, Marek Kusiba, Franciszek Piatkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Stanisław Swierad, Andrzej Tchorzewski, Mieczysław Wodnicki, KONCEPCJA GRAFICZNA: — Marek Góbel, ABRES, REDAKCJA: ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża tel. 34-95, WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Kombatant Wydawniczo-Kolportażowy w Białymstoku, DRUK: Białostockie Zakłady Graficzne, zam. 1223/80, Nakład 20 000 egz. 1-3 Cena zł 4,-.

KONTAKTY

MINI-KABARET PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Niewykluczone, że pamiętamy koniec poprzedniego odcinka, w którym cztery znajome diabły: Ob, ob, Supraski, Biebrzański, Bużański i Narwiański, ciągnąc buzo kłusowniczej sieci, wyciągnęły z dna Biebrzy zakapslowaną flaszkę żytniej z kłosem. Flaszka została odkapslowana, a zawartość — skonsumowana. Trzeźwość nie jest obyczajem diabłów. Teraz siedzą one na brzegu i kombinują, co by tu dalej...

SUPRAISKI: Po mojemu — warto by jeszcze raz pociongnąć.

NARWIAŃSKI: A niby z czego? Z pustej flaszki sam diabeł nie naleje.

SUPRAISKI: To się rozumie, ale ja o sieci mówię, kulięgo. Dawajcie jeszcze raz zaciąganiem, może jakiś drugi kłusownik flaszkę we wodzie zostawił?

BIEBRZAŃSKI: Na pewno został, ale ja już do wody więcej nie lazę. Nerki mi wysiadają.

SUPRAISKI: Coś takiego! Wytlumaczcie się, kulięgo, co to ma niby znaczyć? Nie za wiele wy czasem ankoholu używacie? I to na pewno w pracy!

BIEBRZAŃSKI: Kochany! Okolica tutaj taka, że maczej nie da rady!

NARWIAŃSKI: Każdy tak może mówić. Ile u was litrów wyciąga z hektara?

BIEBRZAŃSKI: Na pewno więcej niż u was. Tu co drugi od rana chodzi na gazie.

SUPRAISKI: Czemu oni takie?

BIEBRZAŃSKI: Moja w tym, nie chwalać się, zasługa. Naród spragniony, a wody w Goniądzu brak. Niby są tu studnie artezyjskie, ale im wszystkie pozamykałem. Pieniądzy na remont teraz nie dostają, no to zamiast pod studnię — idą do Nadbiebrzanki gasić pragnienie.

SUPRAISKI: Z samego ranja idą?

BIEBRZAŃSKI: Aż do późnej nocy.

BUZAŃSKI: A co oni robią, jak im knajpę zamkną?

BIEBRZAŃSKI: Do dziadka idą albo do babki, kto tam kogo ma krewnego...

SUPRAISKI: To mówicie, kulięgo, że wody u nich nie ma, toż Biebrza pod bokiem?

BIEBRZAŃSKI: Do Biebrzy chodzić by trzeba, a komu się dzisiaj chce. Nawet straż pożarna czegoś nie lubi bieżącej wody. Ostatnio, rozumiecie, ile razy jada do pożaru, zawsze na końcu przyjeżdżają. Już szybciej z Moniek albo z Grajewa inne jednostki zdążą.

SUPRAISKI: Nu, blond, zescie tam jeszcze dotąd nie zadziałali.

BIEBRZAŃSKI: Pomalutku, pomalutku, a dojdziemy do wszystkiego. Jak dotąd — tylko z Goniądza szefa za granicę wysłałem. Przyjdzie czas i na tamtych, bo okolica bardzo twarodewizowa. Co drugi jak nie był, to będzie.

NARWIAŃSKI: Gdzie?

BIEBRZAŃSKI: Tam gdzie trzeba, nie wasza sprawa.

SUPRAISKI: Nu, kuliędy, nikt z nas do dziadka nie pójdzie, chyba że kulięga Biebrzański...

BIEBRZAŃSKI: Ja też nie pójdę, nie będę przepłacać.

SUPRAISKI: A smółki miejscowe nie robio gdzie?

BIEBRZAŃSKI: Niestety. Ten co robi, to ciągle pijany, a innym się nie chce. Za leniwi.

SUPRAISKI: W takim razie kończcie ja wizytację. Kuliedzy! Za dwa tygodnie u mnie się spotykamy. Wróćcie ja z piekielnej konsultacji, wytyczne może przywioze jakies, to sobie pogadamy. A póki co... Nu, chaliera, nie ma czym wypić za nasze dobre kontakty.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

WYWARY WSPÓŁCZESNE

„Dziennik Ludowy” omawiając działalność wiejskich świetlic odnotował, że w Burzynie odpadł sufit, a w Cwalinach Dużych — cała działalność. Jest również o grzybie w Warchołach i o innych przejawach życia kulturalnego na wsi łomżyńskiej.

Kierowniczka największej łomżyńskiej restauracji dementuje na łamach „Sztandaru Młodych” informację, jakoby studenci wychodzili z lokalu na czworakach.

„To, co się dzieje w Łomżyńskim, posiada — co tu dużo gadać — wszelkie znamiona magii” pisze specjalny wysłannik „Życia Warszawy”. Są szczegóły.

37-letni Janusz K., który według danych „Sztandaru Młodych” pracował już we wszystkich zakładach Łomży, poinformował ostatnio dziennikarza, że uczciwie zarabia na kieliszek chleba.



Diabelski uśmiech ze zbiorów kowieńskiego Muzeum Diabłów. Fot. Włodzimierz Ciesławski

CHĘTNE POSŁUCHANIE

I diabeł chętnie w konfesjonale siedzi. Chcąc pikantnej wysłuchać spowiedzi.

DIABEŁ SEKSU

Ciało weźmie — duszy nie ruszy

DZIWNY TEN ŚWIAT

Dziwny ten świat we współczesnej erze: i niebo nie nęci i diabeł nie bierze

SZCZĘŚLIWIEC DANTE

Dantemu się upiekło: znał tylko klasyczne piekło

ZBIGNIEW WAYDYK

DZIWIW Z IMPORTU

DIABŁY Z PASADENY

W roku 1976 odbył się w Pasadenie (USA) kongres naukowy na temat tzw. czarnych dziur. Czarne dziury są najdziwniejszymi spośród obiektów kosmicznych odkrytych przez człowieka. Zawierają materię skupioną w stopniu wręcz niewyobrażalnym. Ich wielkość porównywalna jest z wielkością atomu, natomiast masa idzie w kwadryliony ton (pierwsza czarna dziura oznaczona przez astronomów jako CYG X-1 w gwiazdozbiórze Łabędzia ma przypuszczalnie masę 10^{36} g; byłaby to więc jedynka z piętnastoma zerami!). Przyciąganie czarnych dziur jest tak wielkie, że nie wydostaje się z nich prawie żadne promieniowanie — stąd właśnie są takie czarne. Astronomowie przekonani są, że wnętrza czarnych dziur jest niepoznawalne i że zawierają one, jako jedyne bodaj obiekty we wszechświecie, Wielką Niespodziankę.

Doktor H.S. Wilkinick z Kalifornijskiego Instytutu Technologicznego, uczestniczący w kongresie (zorganizowanym przy współudziale Międzynarodowej Unii Astronomicznej), wysunął całkiem poważną hipotezę, że czarne dziury zawierają tajemnicę... duchów. Otóż jego zdaniem owa Wielka Niespodzianka mogą być niedostępne naszemu ludzkiemu poznaniu naukowemu — diabły. Zapowiedział on też zorganizowanie specjalnej konferencji w tej sprawie. Zainteresowało się tym wiele poważnych osób, między innymi Neil Armstrong — człowiek, który jako pierwszy postawił nogę na Księżycu oraz Robert H. Dicke z Uniwersytetu w Princeton — odkrywca tzw. szumu kosmicznego. Konferencja zorganizowana przez Wilkinicką odbyła się po trzech latach od chwili rzucenia myśli, a nie mogąc uczestniczyć w niej Armstrong nadesłał list ze swoimi uwagami. W dyskusji kluczowym problemem było, czy są to duchy dobre, czy też złe. Większość naukowców w specjalnej ankiecie głosowała za złymi duchami. W podsumowaniu stwierdzono jednak, że nawet diabeł nie może być absolutnie złym duchem, jako że w przyrodzie nie ma nic absolutnego, ani na tak, ani na nie, a nawet czarne dziury potrafią przeciekać.

INTERRUPTUS

POCZET DIABŁÓW POLSKICH

MERDASIŃSKI

— piekielny hrabia, syn Belzebuba i spalanej na stosie córki kasztelana sandomierskiego. Na dworze Lucyfera pełnił funkcję diabelskiego astrologa. Słynął z urody i mądrości, ale żaden z tych przymiotów nie wyszedł mu na dobre. Z powodu pożądania, jakie budził w diabolicach, był przedmiotem niebawalnych, nawet jak na piekło, awantur, a uczoność stała się powodem zesłania Merdasińskiego na ziemię, gdzie miał opracować diabelski kalendarz.

Na ziemi Merdasiński głównie podkochiwał się w pięknej miecznikowej z Żydaczowa i kontynuował studia z zakresu astrologii. Jedno i drugie, jak przystało na polskiego diabła, bez większego powodzenia. W zalotach przegrywał z Miedzianem, który nie bez powodu uchodził za piekielnego Adonisa, kalendarza nie wydał, bo mu papiery, zakupane pod wierzba, podesłał chłop Kacper Ciomka. Ostatnio widziano diabła w okolicy Łomży, gdzie naradzał się z uczonym teologiem, jak ułożyć kalendarz, w którym każdy diabeł miałby swoje święto.

Sredniowieczny „Taniec śmierci” z Chaise-Dieu, przerys w stylu sylwetkowym charakterystycznym dla przełomu XIX i XX w. Fot. Włodzimierz Ciesławski

